Bez marynarki nie ma kolonii, bez kolonii nie ma znaczenia na świecie a bez znaczenia na świecie nie ma miejsca pod słońcem.

w młodych oczach



CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(ZATWIERDZONE DO BIBLIOTEK UCZNIOWSKICH DLA MŁODZIEŻY POWYŻEJ LAT 14 PRZEZ MIN. W. R. i O. P., 15. VII. 38. Nr. II. Pr. — 16007/38).

... I tu, w tym właśnie fakcie związania z zawodem nie przez interes materialny wyłącznie, czy zapłatę, lecz przez powołanie, fachowe wydoskonalenie i idące za tym zamiłowanie, tu właśnie tkwi cecha istotna inteligencji zawodowej.

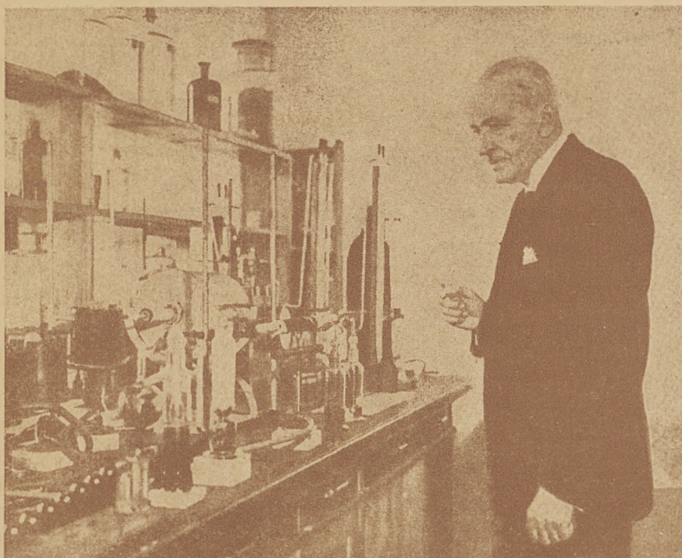
Adam Skwarczyński

NR 2 (15) WARSZAWA ROK 3

WYD. ORGANIZACJI PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

TADEUSZ STASINOWSKI,
Inowrocław, Lic.

O ZWYCIĘSTWIE CHORZOWSKIM



Synteza działalności Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego, którąby obejmowała wszystkie czyny i osiągnięcia Pierwszego Obywatela jest rzeczą zbyt wielką i trudną, by można się było o nią na tym miejscu pokusić. Należy ona do zadań historii. Rezygnując więc z góry z prób zobrazowania w zarysie choćby najogólniejszym całokształtu Jego pracy dla Polski, pragniemy w niniejszym krótkim szkicu zwrócić uwagę na jedno z tych wielu dzieł Dostojnego Solenizanta, które sprzęgły się na zawsze z historią gospodarczą Polski.

W listopadowe dni staliśmy się państwem, czyli tworem politycznie niezależnym. Niezależność ta opierała się na słowie „Jestem!", które Polska wypowiedziała za sprawą Józefa Piłsudskego i wypisała bagnetami na granicach. Rozdział walki zbrojnej o istnienie polityczne został przez żołnierza polskiego zamknięty.

Historia uczy jednak, że niepodległość polityczna jest obliczona na krótką metę, jeżeli opiera się tylko na fakcie istnienia i na armii, a nie idzie w parze z niepodległością gospodarczą. W takim właśnie położeniu była Polska w pierwszych latach niepodległego bytu. Aby ten byt utrzymać, aby słowo „Jestem" wypełnić treścią, należało podjąć drugą, równie trudną niż poprzednia, choć bezkrwawą walkę o niezależność gospodarczą. Do tego nowego boju stanął Ignacy Mościcki, podejmując zadanie uruchomienia zakładów w Chorzowie. Odpowiedzialność była ogromna. Niemcy, opuszczający zakłady, zdewastowali je kompletnie, z zamiarem ośmieszenia Polski wobec świata, jako nieprzygotowanej do samodzielnego istnienia, bo nie posiadającej ludzi dorównujących wiedzą specjalną im, którzy wysoko postawili technicznie przemysł górnośląski. Obliczenia zawiodły i z Chorzowa wyszedł po dwu tygodniach pierwszy wagon polskich nawozów sztucznych. Obok doniosłości praktycznej tego faktu, którym było dostarczenie azotniaka leczącemu się z ran wojennych rolnictwu polskiemu, podkreślić musimy jego pierwszorzędne znaczenie moralne, o wiele od praktycznego ważniejsze. Oto własnymi siłami, bez jakiejkolwiek obcej pomocy zorganizowano — za sprawą wielkiego umysłu — zawiązek polskiego, rodzimego przemysłu, stworzony z niczego. O wielkości zwycięstwa chorzowskiego stanowi właśnie ten drugi, moralny czynnik: konkretne przeciwstawienie się polskiej niewierze we własne zdolności. Ignacy Mościcki pokonał niemiecką robotę destrukcyjną polską zaciętością, uporem a przede wszystkim — zdolnościami i wiedzą. To zwycięstwo było hasłem do nieustającego do dziś, wspaniałego, potężniejącego pochodu naprzód po przez trudności gospodarcze, na których dawno wykruszyły sobie zęby stare potęgi handlowe, opierające się na olbrzymich zaporach złota. Doszliśmy do Gdyni i C.O.P.-u, do milionowej wytwórczości, a wszystko zaczęło się od jednego wagonu azotniaka, który wyprodukował Ignacy Mościcki.

Zastanowić się musimy, jakie obowiązki nakłada na nas dzieło Dostojnego Solenizanta i Jego współpracowników.

Musimy tę świetną spuściznę nietylko zachować, ale uwielokrotnić, aby cała Polska stała się Gdynią i C.O.P.-em, by tak, jak te dwa wielkie dzieła, była symbolem polskiej myśli zwycięskiej i nie znającej dla siebie granic. Musimy dopędzić i wyprzedzić innych, doprowadzić dzieło gospodarczej niezależności do zwycięskiego, jedynie dla nas możliwego końca. Musimy być potęgą — by być, a podstawą tej potęgi jest przede wszystkim rozwój narodowej gospodarki.

• • •

Z okazji przypadających w lutym Imienin Pana Prezydenta złączmy się z całą Polską życzeniem, by w zdrowiu i szczęściu prowadził Ją, której jest Pierwszym Obywatelem, ku chwale i wielkości, i przyrzeczmy Mu z całego serca naszą w tym gorącą pomoc.

Dzielimy się z naszymi Czytelnikami miłą wiadomością: administracja naszego czasopisma otrzymała zamówienia na prenumeraty z trzech szkół Zaolzia, z samorządem Gimnazjum w Cieszynie Zach. na czele. Nowym prenumeratorom wysłaliśmy w darze oprawione roczniki „W Mł. O.".

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

(zatwierdzone do bibliotek uczniowskich dla młodzieży powyżej lat 14-tu przez Min. W. R. i O. P.)

Wyd. przez O. P. O. M. STRAŻ PRZEDNIA

Nr 2 (15) Warszawa, luty 1939 r. Rok 3.

DŁOŃ DO WSPÓŁPRACY

Epoka nasza ma już swoje dogmaty. Gdy nas ktoś zapyta, co jest miernikiem wartości współczesnego człowieka, cóż mu odpowiemy? Człowiek z wieku „oświecenia" odpowiedziałby bez zająknienia: cnota. My odpowiadamy bez zająknienia: praca. Nie dlatego, byśmy nie wierzyli w wartość cnót. Przeciwnie wierzymy, że rodzą się one najlepiej w atmosferze pracy. Praca jest dziś dźwignią rozwoju społeczeństwa, jest najpewniejszą drogą do dobrobytu **materialnego,** ale jest zarazem warunkiem „sine qua non" rozwoju **moralnego** człowieka. Dlatego „człowiek pracy" cieszy się dziś największym szacunkiem w społeczeństwie, zaś człowiek **niepracujący** uważany jest przez społeczeństwo za **ciężar.**

Są dwa rodzaje ludzi niepracujących. Ci, co „nie potrzebują" pracować i ci, co pracy — nie mają. O trzeciej grupie, czyli o niezdolnych do pracy, pisać na tym miejscu nie będziemy.

Zajmijmy się wpierw grupą pierwszą. Są to ludzie, którzy dlatego nie potrzebują pracować, bo żyją wyłącznie z cudzej pracy. Krótko mówiąc — to jemioły, narośla, pasożyty. Jest ich wprawdzie naogół w naszym społeczeństwie procent nieduży. Ale procent ten wystarczy, by wysysać część soków żywotnych ogółu. Jasną jest rzeczą, że takich ludzi żyjących darmo i bez zasługi na koszt społeczeństwa, być u nas nie powinno.

Jest jednak druga grupa ludzi, żyjących na koszt społeczeństwa. To — bezrobotni, ci, dla których n i e m a pracy. Różnią się tym od grupy pierwszej, że gdy tamci mają najczęściej za wiele, ci mają za mało albo zgoła nic. Gdy zaopatrzenie grupy pierwszej jest stokrotnie nieraz większe od ich zdolności konsumcyjnej, grupa druga odczuwa głód. Głód zwyczajny, fizyczny, głód strawy, ciepła, spoczynku, światła, higieny, głód kultury, rozrywki, g ł ó d p r a c y. Gdy jednych „spiera" od przesytu, innych ściska z głodu. Tych drugich mamy zresztą stosunkowo dużo więcej niż pierwszych. I gdyby odebrać jednym i dać drugim, to ani w części nie zaspokoiłoby tego głodu, o którym była mowa. Ale kontrasty takie są, rażą nas nieraz naocznie. Spotykamy w życiu nieznośnych „królewiczów" i żałosnych nędzarzy. I zdarza się nieraz, że stopniowo, stopniowo stajemy się na takie kontrasty coraz mniej wrażliwi.

A przecież tak nie wolno! A przecież takich przeciwieństw w naszym społeczeństwie żadną miarą być nie powinno. Nie powinno być ludzi żyjących z jednej strony w **niezasłużonym bogactwie,** a z drugiej — w **niezasłużonej nędzy.**

Komuż uczciwemu pragnienia takie nie nurtują serca, któż za młodu i później nie przeżywał bólu i goryczy z tego powodu. Bądźmy szczerzy: gdy się tak myśli nad tymi sprawami, gdy się je tak głęboko przeżywa, wydają się one takie proste, tak łatwe niemal do rozwiązania, że potęguje to tylko nasze oburzenie na wszystkich: na świat i ludzi, na rząd i społeczeństwo. Cisną się do głowy projekty, programy, formują się pewne poglądy a nawet pewne plany do realizacji. Gdy układa się je na gorąco, mają one zazwyczaj jedną cechę: pragną załatwić się z zagadnieniem **szybko, gruntownie i ostatecznie,** za pomocą wszelkich możliwych środków aż do przewrotów i rewolucyj włącznie. W ten właściwie sposób rodzi się

t. zw. „radykalizm społeczny młodych". Nadmieńmy odrazu, że nie mamy nic przeciewko temu radykalizmowi — przeciwnie: uważamy, że jest to jedna z najpiękniejszych cech okresu młodzieńczego.

Obok myślenia „na gorąco" jednak człowiek musi być zdolny również do myślenia „na zimno". Otóż ten stan „zimny" dyktuje myśli następujące: Krzywda społeczna jest stara jak świat. Walka z tą krzywdą nie jest o wiele młodsza, aczkolwiek posiadała ona w ciągu wieków ubiegłych stosunkowo małe nasilenie. To co narasta w ciągu lat np. pięciuset, nie da się jednak usunąć w ciągu lat pięciu. Trzeba na to czasu. Walka czy praca nad tym musi być rozłożona na etapy. Musi to być raczej walka z przyczynami a nie skutkami niesprawiedliwości społecznej. Otóż przyczyny naszych „dysproporcyj" leżą u nas naogół w złej i szkoliwej strukturze społecznej, zawodowej, gospodarczej. Wystarczy tylko wspomnieć o przeludnieniu wsi przy złej strukturze rolnej, o brakach polskiego rzemiosła, przemysłu i handlu. Trzeba tę strukturę przebudować.

Istnieje wprawdzie doktryna, która głosi, że jeśli się taką strukturę społeczną przewróci np. jak domek dnem do góry, to już wszystko będzie dobre. Ci, którzy żyli w piwnicach znajdą się raptem na strychu, a ci z II piętra — w... ciemnych lochach G.P.U.

Pierwsze piętro zostaje w tej koncepcji po dawnemu. Po dawnemu zajmują je — wszystko jedno — biali czy czerwoni ciemiężcy.

Odrzucamy zatem głupie, złe i szkodliwe myśli o przewrotach. Stokroć lepiej jest wziąć się do spokojnej, wytrwałej i planowej przebudowy. Musimy jednak pamiętać o tym, że musi to być przeróbka rzetelna a nie jej pozory, łatanie dziur, zamazywanie plam itp. Nie idzie bowiem o to, by złagodzić tylko niektóre zbyt ostre przejawy i skutki niesprawiedliwości społecznej. Trzeba naprawdę wyrwać zło z korzeniami.

Gdy w suterenach stoi woda mało jest ją wypompować. Choćby cały oddział strażaków z okazałymi motopompami czuwał dniem i nocą, niewielka to pociecha dla mieszkańców. Tu trzeba bowiem zasadniczego remontu i przeróbki. Doraźna pomoc dla bezrobotnych i ubogich jest tylko doraźną koniecznością, która ani na chwilę nie odsunie w cień potrzeby przebudowy. T r z e b a p o p r a w i ć w a r u n k i b y t u w a r s t w y p r a c u j ą c e j. Trzeba, by chłop, robotnik, rzemieślnik i inteligent pracujący mieli w państwie zabezpieczoną p r a c ę. Trzeba by dzięki tej pracy mogli stworzyć sobie warunki życiowe na poziomie zdobyczy kulturalnych wieku XX, oraz możność awansu społecznego. Warstwy pracujące posiadają w państwie największe prawo do kultury i dobrobytu. O kulturę i dobrobyt bowiem idzie a nie o fikcyjne zrównanie („urawniłowkę") czy idyliczną wspólnotę („komunę"). Mogą sobie po Polsce ludzie rozbijać się Buickami, byle nasz robotnik miał swego skromnego... Fiata. Mogą sobie zjadać i złote bażanty, byle nasz chłop miał pod dostatkiem „kurcząt w garnku". Ale na to żeby choć tyle nam los udostępnił, b e z c z y n n i e c z e k a ć nie możemy.

Komu chodzą dziś po głowie myśli o krzywdzie, komu w sercu wrze słuszny bunt przeciw niesprawiedliwości, niech nie zaciska bezczynnie pięści, niech nie macha na postrach czerwonymi płachtami. Daremnie dąsać się i miotać. Pokolenie młodych, które pragnie uczynić Polskę sprawiedliwszą a przez to mocniejszą, nie wywojuje jej z żadnym **wrogiem**. Może ją tylko wybudować pracą własną. Pracą społeczną i zawodową, spółdzielczą, gospodarczą i kulturalną, byle posiadającą wspólny sens i cel.

Młodej inteligencji pracującej przypada w tej pracy rola p i o n i e r ó w. Od tej roli uchylić się już dziś nie wolno. Musi zniknąć ze szczętem z życia ten typ inteligenta, który ma na wszelkie uroczystości usta pełne frazesów socjalnych a na co dzień od chłopa i robotnika polskiego odwraca się plecami. Polska młodzież włościańska i robotnicza, która wchodzi równocześnie z nami w życie, musi w nim spotkać n a s z ą d ł o ń, wyciągniętą do braterstwa i współpracy.

na półce z książkami

Ciesząca się wielkim powodzeniem wśród młodzieży szkolnej biblioteczka „POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY" Gebethnera i Wolffa licząca już 50 tomików, w przeważnej części poleconych przez Ministerstwo W. R. i O. P. jako lektura szkolna — wzbogaciła się znów o cztery tomiki.

F. Sławoj-Składkowski — W Beniaminowie (kartki z pamiętnika). Jest to dzienniczek z pobytu oficerów legionowych w obozie koncentracyjnym Beniaminowa. Styl barwny, bezpośredni pełen humoru i sentymentu zjedna sobie niewątpliwie, jak wszystkie książki Premiera, sympatię młodych czytelników.

Druga książeczka — to Marii Kannówny „Pilot gotów" — opowiadanie o chłopcach entuzjastach sportu szybowcowego. Zawiera wszystkie perypetie zdobywania kategorii A pilotażu szybowcowego. Książka interesująca i żywa.

Trzeci tomik zawiera dzieje wypraw na Mount Everst opisanych przez znanego alpinistę Wiktora Ostrowskiego — tytuł książeczki „Na szczyt świata".

Wreszcie tomik czwarty Edwarda Cressy „Na wielkich szlakach kolejowych", zawiera nieznane czytelnikom polskim dzieje budowy wielkich kolei w Anglii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Ameryce Południowj, na Syberii oraz historię budowy pierwszych linii kolejowych w Polsce. Tomik ten ukazuje bohaterstwo zmagań się pionierów kolejnictwa z piętrzącymi się trudnościami technicznymi oraz z nieufnością społeczeństwa.

Redakcja zawiadamia, że numer marcowy, wydany ku uczczeniu rocznicy Imienin Wielkiego Marszałka zostanie zamknięty w. dn. 25 lutego.

Artykuły i prace aktualne przesłane po tym terminie, do numeru nie wejdą.

polityka w młodych oczach

JÓZEF WALCZEWSKI

DROGI IDEOWE MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Przystępując do zobrazowania oblicza ideowego współczesnej młodzieży polskiej — zastrzec się trzeba odrazu, że nie mamy zamiaru omawiać takiej, czy innej organizacji. Nie tylko dlatego, że organizacje młodzieżowe przeżywają dość głęboki kryzys, a wielka część młodzieży bynajmniej nie obojętnej na przejawy życia ideowego — stoi poza nimi. Zasadniczym motywem jest chęć podkreślenia rysów wspólnych, charakteryzujących oblicze młodzieży polskiej, jako całości. Będziemy się starali zaobserwować główne dążenia i prądy, jakie nurtują wśród młodzieży i jeśli nawet nie porwały jej całej, to w każdym razie uzyskały decydującą przewagę.

Rzecz jasna, zadanie to nastręcza trudności. Oblicze ideowe młodzieży bynajmniej nie jest zastygłe. Przeciwnie, cechuje je pewnego rodzaju płynność, wynikająca z nieustannych ewolucji ideowych, tak zrozumiałych i twórczych u młodzieży. Toteż starać się będziemy dać pewnego rodzaju przekrój, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, choć oczywiście niejednokrotnie trzeba będzie sięgać myślą i w przeszłość i przyszłość.

Na wstępie stwierdzić należy odrazu wygasanie kryteriów, według których w pierwszych latach Niepodległości myślała i różniczkowała się młodzież. Mowa tu o t. zw. sporach orientacyjnych, które stanowiły, a częściowo jeszcze stanowią, podstawy podziału starszego społeczeństwa. Dla młodzieży spory te obecnie poprostu nie istnieją, gdyż rozstrzygnął je bezapelacyjnie sam fakt odrodzenia Polski, świadczący niezbicie, że nie obcej łasce, ni dyplomatycznym przetargom, lecz geniuszowi Józefa Piłsudskiego i krwawemu trudowi żołnierza zawdzięcza Polska swą Niepodległość.

Lecz świadomość decydującej roli, odegranej przez Józefa Piłsudskiego bynajmniej nie stanowi przeszkody do objektywnego spojrzenia w przeszłość i uczciwej oceny zasługi ludzi, którzy na swój sposób przyczynić się starali — i niewątpliwie przyczynili do odbudowania Państwa — że wspomnimy tylko także pożyteczną akcję wielkiego patrioty, Ignacego Paderewskiego.

Z istnieniem sporów orientacyjnych wiąże się sprawa wykorzystywania młodzieży dla swych celów przez partie polityczne. W momencie, gdy dostrzegano, że atrakcyjność przedwojennych haseł i koncepcji jest zbyt mała — chwytano się demagogii, obdarzano młodzież ewangelią, złożoną z frazesów, rozniecano w niej niezdrowe instynkty, byle tylko móc nadal korzystać z jej usług. Młodzieńczy zapał, ideowość i dobra wola eksploatowane były bez skrupułów przez sprytnych taktyków partyjnych dla celów bardzo mało mających wspólnego z istotnymi dążeniami. A robotę tę ułatwiał fakt, że młode pokolenie było w poszukiwaniu w i e l k i e j i d e i.

Bo zapominać nie wolno, że z chwilą odzyskania Niepodległości została zrealizowana idea, która przez z górą sto lat stanowiła podstawę dążeń najszlachetniejszych jednostek w Narodzie. Spory orientacyjne były jakby epilogiem walki niepodległościowej, a zaprzątając umysły przyczyniały się do czasowego odsunięcia pytania: — „Co dalej?". Jednakże pytanie to coraz natarczywiej domagało się odpowiedzi. Młodzież, na której ciąży odpowiedzialność za przyszłość Państwa, nie mogła zbyt długo wmawiać w siebie, że odpowiedzią na to pytanie jest jej działalność partyjna. A im bardziej poczynała samodzielnie myśleć, tym w większym stopniu poddawała w wątpliwość wartość podsuwanych jej dotychczas frazesów, tym bardziej uwalniała się spod „opieki" partyjnych menerów.

W parze z tym szło zniechęcenie do form i treści dotychczasowej działalności, wzorowanej na partiach i przez nie zazwyczaj kierowanej. Działalności, opartej na demagogii i płytkiej frazeologii, a popieranej nierzadko mało wyszukanymi „argumentami". Wraz z rozczarowaniem i odsunięciem się od akcji politykiersko-bojówkarskiej powstała i wzrastała tendencja do oparcia pracy ideowej na k o n k r e t n y m w y-

siłku społecznym w terenie. Chodzi o to, żeby młodzi, obok tworzenia swej wizji przyszłości, jęli się realnej, twórczej pracy, która by pozwoliła skonfrontować z życiem i w konsekwencji urealnić ich reformatorskie zamierzenia, a jednocześnie już dziś wnosiła w rzeczywistość polską pewne przemiany. Nie ulega wątpliwości, iż jest to prąd zdrowy i pożyteczny i na wielu odcinkach możemy już obserwować jego owocne i bardzo dodatnie skutki.

Lata ostatnie wprowadziły w życiu ideowym młodzieży polskiej nader doniosłe zmiany. Zerwano z przeszłością i zaczęto w myśl nowych idei tworzyć własne programy działania, posuwając się niejednokrotnie dość daleko na drodze konkretyzowania wytycznych i dróg postępowania. Nie można dziś jeszcze powiedzieć, aby młodzież polska była całkowicie zgodna w swych dążeniach i wierzeniach ideowych. Nie mniej przeżyta przez całe polskie młode pokolenie ewolucja ideowa znacznie **zbliżyła je do siebie,** zasypując dawne, sztucznie pogłębiane przepaści, zacierając zbyt jaskrawe linie podziału tak, że jednostki z najzupełniej sobie niegdyś wrogich odłamów, znajdują dziś często wspólny język, stwierdzając, że w poglądach ich zachodzą w gruncie rzeczy minimalne tylko różnice.

Nie ma dziś wśród młodego pokolenia wątpliwości, że zasadniczą podstawą jego wierzeń i dążeń musi być polska racja stanu. Wszystko co z racją stanu naszego Państwa jest sprzeczne, lub choćby trochę tylko od niej się odchyla — musi bezapelacyjnie odpaść, choćby nawet miało pewne cechy na pozór nęcące, znajdując np. poparcie w abstrakcyjnie, po doktrynersku ujętych ideałach ogólnoludzkich. Tak jest przecież z doktrynerskim pacyfizmem, który w naszym położeniu geograficznym równałby się dobrowolnemu samobójstwu. A są jeszcze kraje, gdzie skrajne ujęcie tych teoretycznie pociągających ideałów doprowadziło do zwyrodniałego hasła: „Raczej niewola, niż wojna!...".

Dla współczesnej psychiki polskiej sama możliwość takiego postawienia sprawy jest czymś wręcz niepojętym. Przykład ten ilustruje jednak należycie, na jakie manowce zejść może myśl ludzka, nie postawiwszy sobie jasno sformułowanego drogowskazu.

Drogowskaz taki młodzież polska bezsprzecznie posiada. Nie oznacza to oczywiście, by była całkowicie jednolita w swych dążeniach. Nie da się zaprzeczyć istnienia takich czy innych odchyleń. Zresztą młodzież nie byłaby młodzieżą, gdyby uznając zasadniczy kierunek nie szukała i nie próbowała forsować nowych, lepszych, doskonalszych dróg. Ważne jest jednak, że widzi ten wspólny cel, że uznaje **prymat dobra Narodu i Państwa** przed jakimikolwiek interesami jednostek, czy całych grup społecznych i narodowościowych, że wierzy, iż ofiary nie są zbyt duże, jeśli przyczyniają się do wzrostu potęgi, świetności i chwały Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Jeżeli powiedzieliśmy, że młodzież stawia interes Polski ponad interesami jednostek i grup społecznych, to w żadnym razie nie należy tego rozumieć, jako braku zainteresowania problemami społecznymi. Przeciwnie, zainteresowania te są bardzo żywe, czemu się trudno dziwić, jeśli pamiętać będziemy o wielkim znaczeniu i aktualności tych właśnie zagadnień we współczesnej nam rzeczywistości.

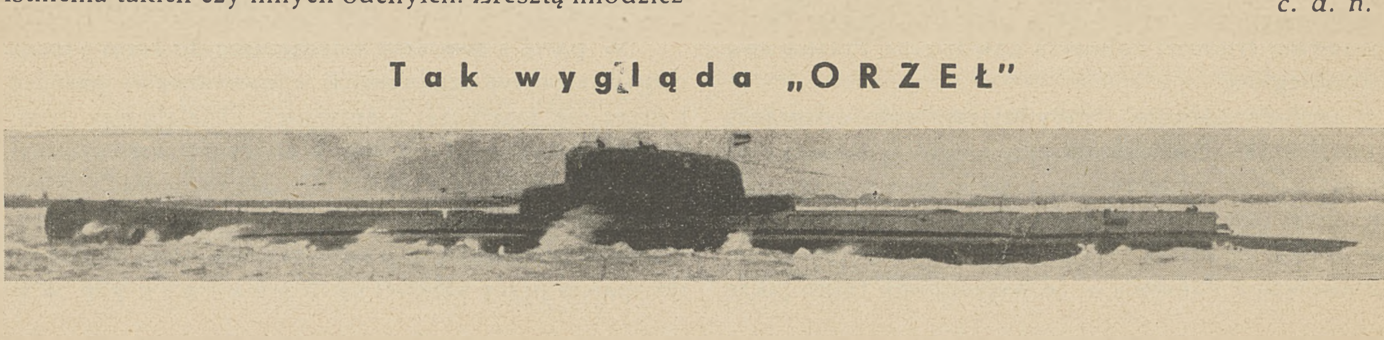
Tylko że młode pokolenie, pragnąc wcielać w czyn wielką ideę sprawiedliwości społecznej — nie traktuje tej kwestii z punktu widzenia tej czy innej warstwy społecznej, zupełnie zaś nie uznaje i zdecydowanie zwalcza fikcję „międzynarodowej solidarności klasowej". Dziś nie trzeba już nikogo specjalnie przekonywać, że t. zw. „międzynarodówki" z reguły były i są narzędziem tych czy innych interesów, zbyt często pozostających w jaskrawej kolizji z racją stanu suwerennego państwa. Jednak zwalczając bezkompromisowo wszelkie międzynarodówki nie wolno nie doceniać znaczenia, jakie dla prawidłowego rozwoju Państwa posiada zdrowa struktura społeczna. Oczywiste jest bowiem, iż na krzywdzie jednego odłamu Narodu nie można budować potęgi całości, gdyż — pomijając już nawet względy etyczne — zawsze spowodować to musi fermenty rozsadzające zwartość i siłę organizmu społecznego. Jedynie zaś harmonijne współdziałanie wszystkich warstw i grup społecznych dać może maksimum twórczego wysiłku na rzecz dobra powszechnego.

Młodzież polska pragnie więc jak najściślej wiązać ideę sprawiedliwości społecznej z polską racją stanu, a widząc błędy i wady obcej struktury społeczno-gospodarczej naszego kraju dąży do jej przebudowy.

Jaką drogą ma nastąpić przebudowa obecnego ustroju w inny, lepszy i sprawiedliwszy — w tym punkcie już poglądy młodzieży się rozbiegają, ale wysoce krytyczna ocena rzeczywistości i świadomość konieczności zmian jest silnym momentem wiążącym.

c. d. n.

Tak wygląda „ORZEŁ"





DYMITR MIECZYSŁAW KASATY

WALKA

Rozdzwoniły się rynny ulewne
lawą słów rozhukanej ciemności — —
w spazmie chwil konających i ciemnych
moje drzwi ktoś rozwalił naoścież.

Wpadły:

— — — straszne,
— — — wychudłe,
— — — zębate,

barykadą zwaliły się w czaszce,
przepaliły mię krwawym stygmatem,
wiecznych oczu —
ziejących przepaścią.

Rozpacz słów roztańczyła się we mnie
Nitschem,
Norwidem.

— — — Wielki znak zapytania śród ciemni:
Kto ja jestem ? — —
...i dokąd ja idę...?

CZESŁAW DOMARADZKI

ŚMIERĆ AMUDSENA.

Różnokolorowa biel lodu i tęczowa nieba czerń
Skrzypi bezgłośnie na zawiasach zorzy borealnej
(tak ciężko jest zasypiać w wieczór radiem gwarny)
Pod karplami nie skrzypi bezpowrotny szreń.....

CZESŁAW DOMARADZKI.

TARG JESIENIĄ.

Kamienista droga ciągnie konie raźno pod górę do miasta,
Gospodarz już się z drzemki przebudził, klnie z ci=cha i basta.

Pod kościołem dziady se społecznie przysiadły i w słońcu gawędzą,
Jesień czepia się szyldów i nagich konarów babiego lata przędzą.

Pod pomnikiem stoi wyprostowany służbowo ży=wy pomnik—policjant,
Ogarnia rynek okiem komendanta niezdobytej, ufortyfikowanej pozycji.

Straganiarki poważnie metrem odmierzają łokcie perkalu
Z łaski dodając dziewuchom na urodę dwa, albo trzy cale.

Żydzi gwarliwie targują korce ziemniaków, pszeni=cy i żyta,
Przesypują ziarno w palcach, nie mogą się ceny do=pytać.

Masło dzisiaj po cztery, jaja po piętnaście, a śmieta=na złoty,
Długimi rzędami ciągną wozy jak stare, osu=szałe płoty.

Sprzedalim, nakupilim, najedlim się do syta jakby w dzień świąteczny,
W szynku se popić teraz — dyć człowiek nie jest wieczny.

JAN MARSZAŁEK, ŁOWICZ.

WYSPA UMARŁYCH.

Tu — w drzewach okwitłych chłodem — północne szeleszczą wiatry.
W cieniu — orszak bronzowych aniołów z smutno=licym Chrystusem i Marią.
Dalej — święci surowi na grobach pod krzyżami padają martwo,
Wiatr wśród grobów osmętniałych klęka. Na=słuchuje: drzewa grają — —

JAN NOWAKOWSKI

Cavour polskiego Piemontu —

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

(W piedziesieciolecie „Nędzy Galicji")

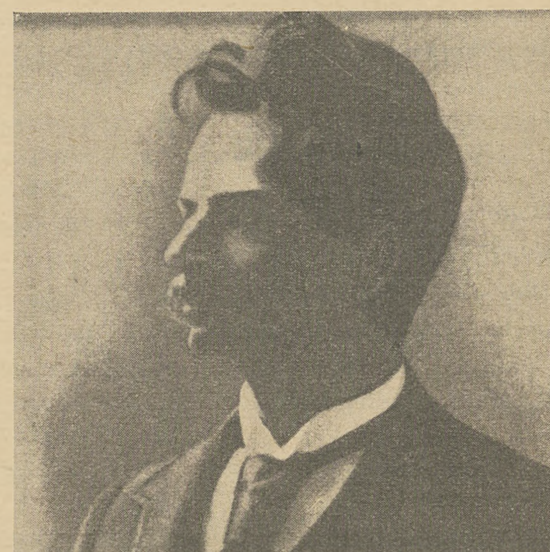
Cz. II.

Mr. Prus jest teraz nafciarzem. Mr. Prus, odkrywca niezmierzonych skarbów i sam właściciel naraz ogromnego majątku — o świcie przywdziewa błękitną bluzę robotniczą, by w gronie podobnych mu inżynierów-dziwaków, uczniów i przyjaciół, osobiście kierować pracą wiertniczą, by własną ręką prowadzić kierownice, dźwignie i przekładnie, by w kłębach syczącej pary i pod deszczem tryskającej ropy, stającej gajzerem złotoplynnym nad tą ziemią, którą był przemierzył szukającą stopą,—wykradać ziemi tajemnice mocy i rozwoju. Rozpędowe koła dygocących maszyn grają jego uszom marsyliankę nowej Galicji, w której człowiek je „z a c a ł e g o", a p r a c u j e z a d w ó c h l u d z i. On sam, Szczepanowski, p r a c u j e z a c a ł e p o k o l e n i a.

Niby wulkany dymiące powstaja oto z głębin leśnych ośrodki coraz nowe pracy i zamożności. Niby lawa rozlewa się z nich po calym Podkarpaciu nowe życie, odmienne, czyste, lśniące nadzieją. W długie zimowe wieczory migocą na wzgórzach czerwone i żółte światła Słobody, Peczeniżyna, Schodnicy, Tustanowic...

Gdy w górach drży ziemia od gwałtownych uderzeń świdrów — na całym podgórzu dymią kominy coraz powstających ośrodków przemysłowych. Destylarnie, rafinerie, fabryki przetworów, warsztaty, fabryki maszyn: Kolomyja, Otynia, Stryj, Drohobycz, Sanok, Krosno, Jasło, Gorlice...

I oto nafciarz, którego troską być by powinny pękate safesy w bankach, a lekturą wyciągi z kont czekowych—nie tylko, że sam żyje skromnie, a wolne godziny na wędrówkach spędza samotnych po dzikich górskich bezdrożach, lecz zasoby swoje rozprowadza pośród publicznych spółek, związków, kooperatyw, ożywiając i żywiąc ruch spółdzielczy, wydając bojowe czasopisma, inspirując żywą i owocną akcję Galicyjskiej Kasy Oszczędności—finansowanej ostoi młodego polskiego ruchu gospodarczego. Wieczorami przemawia, agituje, gromadzi w okół siebie młodych techników, czujących nowy napływ energii rzemieślników, rozbudzonych a mocnych robotników, nawet budzących się powoli z letargu nędzy—chłopów. Po nocach pisze, przekonywa, wyjaśnia, apostołuje. Walczy o n o w y t y p P o l a k a, człowieka dzielnego, bohatera-pracownika. O Polaka-Anglika, łączącego idealizm celów i struktury psychicznej z realizmem codziennej pracy.

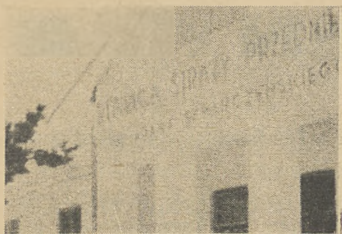


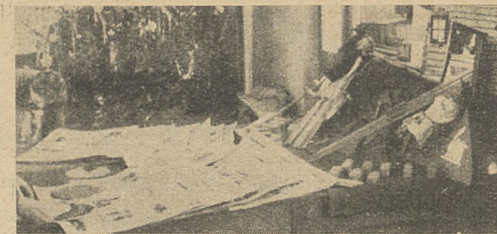
Stwierdzając z goryczą, że „n i g d z i e n a c a ł y m ś w i e c i e p r z e p a ś ć p o m i ę d z y i d e ą, z a m i a r e m, a u r z e c z y w i s t n i e n i e m n i e j e s t t a k w i e l k a, j a k w P o l s c e", przestrzega z mocą: „Kto chce na razie nic nie robić, a dopiero zapowiada energię i waleczność za osiem lat, kto się waha i ociąga, ten albo nie widzi znaków czasu, albo już stracił czułość na głos sumienia narodowego". „Połączenie realizmu i idealizmu, wcielenie aspiracji idealnych w czyn realny, to jest zadanie naszych czasów".

Podkreślając z przekorną mocą, iż „dla nas bohater nieskończenie wyżej stoi od męczennika", w rozprawie dialektycznej „O potrzebie swojskiego kierunku w literaturze polskiej" rzuci te dźwięczne, a na on czas mało slychane słowa:

„Jeśli zrozumiemy, że przyszłość narodu polega na wyrobieniu rasy dzielniejszej, wykształceńszej, mężniejszej od ras innych narodów, to zrozumiemy nasze objawienie ideowe — w myśl którego naród powinien się nauczyć zwyciężać — zwyciężać osobiście, zanim możemy zwyciężyć zbiorowo. Naród polski wykreśla ze swego słownika jedno słowo „rezygnacja", a wkłada „odrodzenie"!

Radca z India Office, nafciarz galicyjski staje się tego o d r o d z e n i a p i o n i e r e m z w y c i ę s k i m. W upale pracy, w zgiełku idących pełną mocą warsztatów, przy budowie robotniczych domów mieszkalnych, domów ludowych, w huku maszyn ro-





O STANICY, CYFRACH I KUKŁACH.

...Jak gospodyni dorodna a godna rozsiadła się na grzbiecie pagórków nowogródczańskich Stanica nasza, śnieg jej białe okrycie sprawił, opatulając zewsząd ściany i dach, że jeno czubiaste kominy ku niebu smugami dymu wychyla — pali się w nich aż miło, bo to kurs zimowy dzisiaj zagościł w jej murach.

Przyjechali z całej Polski młodzi a zapalczywi strażowcy, aby popracować na kursie... i nakarmić się, napoić pięknem zimy kresowej, narcianym śladem poznaczyć zbocza pagórków i wzgórz.

Było tego bractwa „mało—wiela". Więc wszędzie pełno. Na nartach, na pogadankach, przy robieniu kukiełek, przy struganiu, lepieniu, majsterkowaniu pomocy szkolnych... aż się mury stanicowe (pamiętne niejednej wrzawy) trzęsły... a wilki ukryte w pobliskich zagajnikach błyskały stamtąd ślepiami.

Bowiem w stanicy od pierwszego ranka wrzała już robota... Oto w kącie świetlicy cztery głowy schylone nad stołem, pilnie coś majstrują, mieszają gips z gliną, stare gazety z klejem, stawiają za piec — hokuspokus, abrakadabra — i po paru godzinach pokazują nam twarz, potwarz, maskę samego Lucypera, kupca starozakonnego, lub szlachetne oblicze przekupki warszawskiej, które przy odrobinie dobrej woli po udrapowaniu w szaty królewskie na „Negusa" można wystroić.

Z tym rynsztunkiem szła potem „robota oświatowa" z gromadami okolicznej dziatwy jak np. za pomocą kukieł na „Trzech Króli" odegrano widowisko: „*O szewcu Brzytewce, królewnie i okrutnym smoku*".

O innej porze zaglądnąć do sali—a tu cisza. Aż się serce w człeku raduje. Prelegent taką ciszę zasiewa. Stoi gdzieś w głębi, ołówkiem sobie takt przemowy wystukuje, a co ważniejsze słowo napięstkiem o stół przybija. Wykład, nie — cały cykl wykładów o spółdzielczości. Palą się chłopcom oczy, choć w nich mówca cyframi, bilansami, nudną statystyką wciąż rzuca, by lepiej, głębiej i mocniej zrośli się z sprawą gospodarstwa narodowego, spółdzielczości polskiej.

Byli tacy, co hebel, deskę, młotek ponad kotlet a nawet deser świąteczny przekładali — tym to z pod podziabanych, poranionych, zaklajstrowanych paluchów wylaziły takie dziwa jak linealy (w sklepie 5 zł), ekierki, albumy, fury zabawek kartonowych, drewnianych. To pomoce naukowe dla dziatwy pogranicza.

Na zakończenie kursu zostały one rozdane dzieciarni sąsiednich wsi, a strażowcy rozjechali się radośni spełnionym dziełem. *Wł. G.*

---

tacyjnych, w nerwowym napięciu nawet ryzykownych operacyj finansowych rodzi się Piemont polski, rezerwa bogactwa narodowego, a w nim rasa dzielnych ludzi czynu, kadra ludzi przywykłych do liczenia na siebie, na własną energię i umiejętność.

Szczepanowski układa już w myśli zręby nowego dzieła. W dziesięć lat po „Nędzy Galicji" nadchodził już czas na „Rozwój Galicji".

Czas nadchodził, ale — nie nadszedł.

Obudziły się mściwe Erynie. Napięta była już strzała, co go w locie najwyższym dosięgła.

Runęła katastrofa.

Anemiczny dotąd organizm Galicji nie może wydolać wysiłkowi, brak mu już krwi, by nastarczyć gwałtownemu rozwojowi. Kilkakrotnie ratuje go Szczepanowski przed krachem, narzuca zmianę metod, wymusza zmianę polityki rządu wiedeńskiego.

Coraz mocniejszy jest jednak nacisk obcego kapitału, coraz drapieżniej sięga po monopol przemysłowy ręka wiedeńskiej finansiery, coraz przemyślniej podstępnych sposobów się chwyta, by zdusić niebezpiecznego konkurenta. Zaciska się śmiertelna pętla na Schodnicy, na Peczeniżynie.

Wyzuwają Szczepanowskiego z własności wspólnicy krajowi i potężni książęta nafty spoza granic Galicji. Ci decydują o zdławieniu rodzącego się gospodarstwa Polski Południowej.

Cios zada usłużna pięść c. i k. rządu kraju koronnego Galicji i Lodomerii.

Z wielkim, demonstracyjnym hałasem zmontuje się oto „skandaliczny" proces Galicyjskiej Kasy Oszczędności, oskarżonej o przekroczenie statutu. Szczepanowski zaangażuje w tej sprawie cały los swojego życia, swoje dobre imię i wszystkie osobiste mienie.

Imię triumfalnie zachowa, szacunek pozyska powszechny. Straci mienie i los swojego życia.

„Ale ugór galicyjski był już przeorany, nasiona rzucone wschodziły. Małopolska nie czuła się już „Galicją, austriackim krajem koronnym", lecz szła niepowstrzymanie ku temu, by stać się Piemontem polskiej niepodległości" *).

Gdy serce, nazbyt zmęczone, nie wydolało ciosom — gdy już odpływała od brzegów ziemi nawa, oddająca go Nieznanej Ojczyźnie: w tym samym już roku szeptano w Polsce Podziemnej imię tego, co się miał stać polskiej niepodległości Garibaldim. Co z odrodzonej „Galicji" miał wywieść swą legię zwycięską.

Jan Nowakowski.

*) „Zarys życia i prac Stanisława Prus Szczepanowskiego", Lwów—Warszawa 1923 (wstęp do „Pism i przemówień" t. I) — główne źródło niniejszego szkicu.

K O L U M N A

KULTURA „WZWYŻ" CZY „WSZERZ".

Byliśmy niedawno świadkami ożywionych dyskusji w prasie, poświęconych zagadnieniu **organizacji kultury.** Jedna ze stron broniła tezy o konieczności stworzenia instytucji „izby kultury" lub „ministerstwa kultury", którym by podporządkowane były wszystkie społeczne przejawy kultury, które miałyby za zadanie i obowiązek troskę o równomierne rozporządzenie zdobyczy i osiągnięć kulturalnych, opiekę nad kulturą rodzimą, koordynację prac różnorodnych instytucji w zakresie kultury itp. Strona przeciwna oponowała nie tylko przeciw pomysłowi instytucji centralnej ale przede wszystkim przeciw samej zasadzie centralizowania. „Spiritus flat ubi vult" — było tu najważniejszym argumentem. Skutkiem wydarzeń politycznych o dużej doniosłości, które przeżyliśmy niedawno, samo zagadnienie odsunięte zostało na bok, straciło jakby na aktualności, niemniej jednak istnieje nadal a dla naszych warunków kulturalnych jest szczególnie aktualne.

Nawet powierzchowna analiza naszych stosunków kulturalnych wskazuje na dwa zjawiska. Pierwsze z nich to **niedostateczne nasycenie** terenu społecznego różnymi dobrami kulturalnymi oraz olbrzymia **dysproporcja** zachodząca pod tym względem pomiędzy **wsią a miastem.** Drugie — to **bezplanowość** „inwestycji kulturalnych" i brak jakiejkolwiek ustalonej kolejności potrzeb. Oto nieco materiału ilustracyjnego na podstawie naszej „księgi ubogich" — Małego Rocznika Statystycznego w odniesieniu do życia kulturalnego. Liczba radioodbiorników na **1000** mieszkańców wynosi w r. 1938 w Polsce — **25.** Znajdujemy się pod tym względem na **16** miejscu (na **20** państw!). Z tego — na wsi na **1000** mieszkańców przypada **3,4** radioodbiorników, w mieście zaś **16,2.** Liczba bibliotek oświatowych w Polsce wynosi: stałych **8.990,** ruchomych **351** z **8.142** oddziałami. Biblioteki te posiadają łącznie **5.450** tys. książek a więc: **jedna książka przypada nieomal na sześciu mieszkańców.** Jeśli jednak uwzględnimy, że większość bibliotek znajduje się w miasteczkach i miastach, to na biblioteki wiejskie wypadnie niesłychanie mało.

Z liczby ogólnej **56** teatrów objazdowych, polskich jest **31** i rzecz jasna docierają one tylko do większych ośrodków, miast i miasteczek. **Wieś jest pozbawiona teatru.** Liczba kinematografów wynosiła w r. 1937 — **769** z **272,8** tys. miejsc. Z tego na wieś i miasta poniżej 20 tys. mieszkańców wypada **415** z **99,8** tys. miejsc. Pod względem liczby kinematografów dźwiękowych znajdujemy się na **15** miejscu **(743).** Czechosłowacja znajdowała się dotychczas na **8 (1608).** Warto przy tym stwierdzić, że kino spełnia nikłą rolę w krzewieniu kultury rodzimej, albowiem w olbrzymiej większości naszych kin w miasteczkach i miastach słychać tylko — angielski szwargot.

Charakterystyczne są również dane dotyczące stopni organizacyjnych szkół. Na ogólną liczbę szkół powszechnych **27.234** na wieś przypada **25.070** na miasto zaś **2.164.** Z tego jednak w mieście na szkoły najniższego szczebla organizacyjnego przypada **108** na wsi zaś **18.296 szkół.**

Na jednego nauczyciela na wsi przypada **63,9** dzieci, w mieście **56,1.**

Tych kilka danych, wyrwanych doraźnie z Małego Rocznika nie obrazuje oczywiście w pełni naszych braków kulturalnych. Skądinąd wiemy o wielu innych dysproporcjach pomiędzy poszczególnymi odcinkami życia kulturalnego. Niektórzy z nas wiedzą dobrze o małych miasteczkach stawiających pomniki niedbale i bylejak, gdy tymczasem szkoła cierpi na zupełny brak pomocy naukowych. Biblioteka nie ma ani grosza na zakup nowych książek, tu i ówdzie buduje się w odległości paru km. od miasta z „Funduszu Pracy" — stadion sportowy, z którego prawie nikt nie korzysta i którego nie wykańcza się zresztą, gdy równocześnie organizacje oświatowe nie mogą się zdobyć na uruchomienie świetlicy w zimie, bo nie mają za co kupić węgla dla jej opalenia. Teatr amatorski nie może liczyć na żadną pomoc, chociaż w całym szeregu miejscowości on jeden tylko reprezentuje wobec ludności — „sztukę".

FELIETON DYSHARMONIJNY.

Mam w ręku numer jednego z pism stołecznych. Najpierw sensacje większe i mniejsze, potem zapisy „totka" na jutro a wreszcie — skromniutko w rogu ukryte clou numeru: „Kącik astrologa". Podpis — na „ski", z herbem. Jakieś staroszlacheckie, rodowe nazwisko. Tylko, że ostatni potomek tytułu nie używa. Idzie z prądem czasu. Demokracja. Bolszewicy pewnie majątek zabrali. Do astrologii od dziecka miał inklinację. Zachód słońca zawsze wyprorokował. I nigdy się nie omylił. Żeby się na kolację nie spóźnić. Taki talent. Jak tu się z dziełem takiej znakomitości nie zapoznać.

Czytam:

„Koło godz. 10 już możemy być narażeni na jakieś straty, niepowodzenia... jest to mniej pomyślny okres do załatwiania spraw urzędowych, prawniczych, nowych poczynań lub zawierania związków, a nasze dobre intencje mogą być źle zrozumiane".

Pytia. „Okres mniej pomyślny". Zasadniczo — pomyślny. Tylko trochę mniej. Tak pół na pół. Niepomyślny nie jest. Broń Boże. Tylko tak trochę. Żeby ludzi nie straszyć. Ani nadziei nie dawać. Bo mogłoby się jeszcze naprawdę coś zdarzyć...

Nic to, jedźmy dalej:

„... godz. 11 nadaje się do nabywania losów loterii".

Patrzę na zegarek, jeszcze zdążę. Ale zaraz ochłodzenie:

„Nie należy sobie zbyt wiele obiecywać po tej pauzie, bowiem już godz. 12 min. 21 przyniesie nam dysharmonijne wibracje księżyca i Saturna, a wpływ ten zaznaczy się już wcześniej — niwecząc rezultaty naszych wysiłków życiowych".

Nie trudnię się filozofią, ale wątpię czy kupno losu na loterię jest wysiłkiem życiowym, na którego to wysiłku rezultaty mają tak ujemnie wpłynąć owe zdysharmonizowane wibracje. Żeby ten mąż, uczony w astrologii i sciencji wszelakiej cały żywot spędził na czytaniu swych proroctw!

„... Taka passa sprzyja załatwianiu spraw, mających pozostać w ukryciu lub związanych z marynarką, mo-

D Y S K U S Y J N A

Wielu z pośród czytelników niewątpliwie poczyniło podobne spostrzeżenia. Czy więc w świetle przedstawionych tu faktów zagadnienie planowego upowszechnienia **kultury** nie nabiera innego charakteru, innego zabarwienia niż rozważenia abstrakcyjne na ten sam temat? Czy kultura nasza z nielicznych źródeł winna wystrzelać wysoko ku szczytom, czy też szeroka fala kultury ogarnąć ma cały naród? Czy kierunek rozwoju kultury narodowej ma być „wzwyż“ czy „wszerz“, czy też jedno i drugie? Jeśli powinniśmy w pierwszym rzędzie pragnąć **rozszerzania** kultury, to czy nie powinna tym zająć się jakaś instytucja wyższej użyteczności, wyposażona w pełnię środków i kompetencji w tej dziedzinie? Nie chodzi tu rzecz jasna o ograniczanie możliwości i wzlotów ducha ludzkiego, lecz o rozsądne przygotowanie do realizacji różnych planów kulturalnych, których użyteczność oceniana jest z punktu widzenia ogólno-państwowych interesów nie zaś „pojedynkowych pożytków“.

Zbigniew Bohuszewicz



Jerzy Andrzejewski, tegoroczny zdobywca „Nagrody Młodych" P. A. L. za powieść p. t. „Ład serca". Powieść tę omówimy w następnym numerze.

Znowu Jan Marszałek:

JESZCZE O POEZJI.

W odpowiedzi na mój artykuł („Poezja i program“) zarówno T. Frączyk jak i ob. Gutekunst zarzucają mi, że wybrałem zły środek na niedorozwój kulturalny młodzieży. Zmiana programu — uważają — nie będzie tu właściwym rozwiązaniem problemu. Tu trzeba klubów, kółek literackich.

Ponieważ uważam, że sprawa opiera się na pewnym nieporozumieniu — proszę Sz. Redakcję o zamieszczenie tego wyjaśnienia.

Dając projekt zmiany programu wiałem na myśli autorytatywne stwierdzenie przez czynniki oficjalne równowartościowości poezji współczesnej z poezją uznaną, dawną, a przez to zapobieżenie denerwującym uprzedzeniom laików, którzy doskonale „rozumieją“ Mickiewicza, czy Słowackiego, a tylko nieszczęsna współczesność nie znajduje w ich oczach uznania.

Kółka, czy inne kluby literackie obejmują tylko miłośników poezji, którzy bez tego mają w tych sprawach pogląd dostatecznie urobiony, a cóż będzie z tymi, którzy nie mogą „skapować“ Romantyczności, czy Godziny myśli, choć przy każdej okazji podnoszą „zrozumiałstwo“ ich autorów?

A to jest przecież najgorsze, bo poezja z n i e z n a n e j s t a j e s i ę p o g a r d z a n ą, l e k c e w a ż o n ą.

A co do optymizmu ob. Gutekunsta, kiedy mówi o jakiejś poprawie, to trzeba pomimo wszystko, powiedzieć, że opiera się on na niezwykle chwiejnych podstawach. Tym bardziej, że sam fakt znalezienia wśród książek młodszego rodzeństwa Staffa, czy Iłłakowiczówny — do tak optymistycznych wniosków Autora jeszcze nie uprawnia. Pierwszy bowiem należy raczej do historii (Młoda Polska) i „nawet“ za „szkolnych czasów“ mojego interlokutora przerabiany był w VIII klasie dawnego typu, a druga pomimo, że ogólnie zalicza się ją do współczesności — w twórczości swej jest jej obca. A przecież osią mego artykułu nie był brak popularności poetów dnia wczorajszego (nota bene dosyć popularnych) lecz tych prawdziwie współczesnych — Piętaków i Łobodowskich.

Łączę wyrazy koleżeńskiego pozdrowienia

Jan Marszałek.

Łowicz, 31 stycznia 1939 roku.

---

rzem i płynami, muzyką, instrumentami, narkotykami, środkami chemicznymi oraz miejscami izolacji, jak sanatoria, szpitale tc.".

Słyszałem o takim, co miał sprawy pozostające w ukryciu a mający związek z narkotykami i do miejsca izolacji go odwieźli. Tylko, że nie do sanatorium. Ani do szpitala... Lepiej nie mówić.

Ale tak biorąc na chłopski (z przeproszeniem szlachetnie urodzonego wróżbity), prosty rozum: co mają miejsca izolacji do płynów? Bo rozumiem zestawienie marynarki z płynami (w butelkach). Zależność oczywista. Ale instrument smyczkowy i szpital. Czy W. P. nie nadużył przypadkiem... płynów produkowanych przez Państwowy Monopol Spirytusowy? Radzę w takim razie udać się do miejsca izolowanego.

„...Jest to mniej odpowiednia chwila do stosunków z osobami wyżej stojącymi, do nowych poczynań lub zaprowadzania zmian".

„Chwila mniej odpowiednia"... Ni czarne ni białe... Szare. „Osoby wyżej stojące"... Trębacz z wieży Mariackiej, czy latarnik z Rozewia? Może już od kominiarza wzwyż. A który stopień służbowy? Dyrektor departamentu czy referent ze starostwa? Osoba wyżej stojąca... Jasne chyba.

„...koło północy dysharmonijne wpływy Marsa mogą nam przynieść podrażnienia, zwiększoną pobudliwość, nieporozumienia".

Mogą nam przynieść... Ale czy przyniosą? Tajemnica astralna. Zresztą co do mnie, mało mnie te wpływy Marsa obchodzą. Niech by mnie kto o północy spróbował podrażnić. Dopierobym dysharmonijne wibracje wywołał. Pięty by Mars pogubił razem z jego książęcą koroną.

Tadeusz Stasinowski

WACŁAW KOŹMIŃSKI, st. U. J. P.

MŁODZIEŻ KTÓRA WIERZYŁA

Nasz młody wróg — uparty Kostia.

Mówić tu będziemy o młodzieży naszego niespokojnego sąsiada — o młodzieży Rosji Sowieckiej. Wielu z nas pamięta książkę Ogniewa „Pamiętniki Kosti Riabcewa", w której autor opisywał przeżycia, zawody i sukcesy młodego chłopaka żyjącego w tak niezwykłych okolicznościach, jakie wytworzyła rewolucja bolszewicka. Śmieliśmy się z jego kawałów, współczuli niesłychanej nędzy szerzącej się wśród ludności miast i wsi „sowieckiego raju" — doznawaliśmy bardzo wyraźnego wrażenia obcości, jakiejś skrajnej różnicy natur dzielącej nas od siebie — lecz jednocześnie sympatyzowaliśmy z upartym dążeniem młodych do wypracowania lepszej przyszłości swemu społeczeństwu.

Potem przyszły inne książki. Mówiły nam one o wielkim wysiłku dorastającego pokolenia, o jego zaciętości, z jaką rzucało się na każdą trudność, o wielkiej sile wytrwania, o głębokiej wierze w doniosłość swego dzieła, o fanatyźmie nieomal, który pozwalał na wykrzesanie z siebie w najcięższych materialnie warunkach takiej energii i takiej woli, która — zdawało się — góry poruszy, dusze ludzkie do głębi przetworzy.

Mijały lata, powstawały wielkie zakłady przemysłowe, budowano nowe miasta i osiedla. Osiągnięcia materialne były wielkie, lecz koszt ich był bodajże jeszcze większy.

Młodzież nie jest ślepa.

Było może mniej nędzy materialnej, wzrastało jednak bagno moralne, w którym grzęzły i ginęły najdzielniejsze, najbardziej bojowe jednostki. Pozorna stabilizacja stosunków kryła wzrastający terror, który trudno już było usprawiedliwiać nienormalnością pierwszych lat powojennych. Rozpoczęła się tajna kampania szeregu grup i grupek przeciw sobie, rozpoczęły się konspiracje i konszachty, a co gorsze zaczęła się chwiać owa bezwzględna ufność młodego, teraz już pierwszego dorosłego pokolenia w czystość intencji, w prostolinijność postępowania tych, którzy ster państwa w swych rękach trzymali. Młodzież jest wierna i dzielna, ale nie jest ślepa. Widziała ona jak na miejscu dawnej, zniszczonej krwią i pożogą zwyrodniałej arystokracji powstaje nowa, również dzika i próżniacza a podlejsza, bo szermująca stale szczytnymi hasłami, bo żądająca poświęcenia i bezwzględnego posłuszeństwa w imię idei — od innych.

Przewodnicy wielkiej armii młodych obiecywali jej złote góry. Nie o złoto chodzi. Nie o to nawet czy się jest głodnym, czy sytym, lecz o to, czy się czuje słuszność swego stanowiska, czy się ma w duszy tę wielką siłę, jaką daje wiara, czy tylko gorycz zawodu, lub zwierzęcy strach przed męką i śmiercią.

Plan — fikcja.

I w pewnej chwili tej siły zabrakło. Dawna młodzież, obecnie technicy, inżynierowie, badacze, robotnicy — ta podstawa siły związku, jego armia pracy, jego armia karabinów — poznała, iż jej nadludzki często wysiłek, nadludzkie poświęcenie nie zostało obrócone na realizację celów, które niegdyś przed nią postawiono. Zaufanie, jakie okazali swym przywódcom, naraziło ich na najtragiczniejszy zawód. Oto ten „genialny", „gigantyczny" plan, który miał cały świat zadziwić, w którego realizacji tak mało ceniono sobie szczęście i życie jednostek, ten plan, który miał przebyć przepaść czasu kilku siedmiomilowymi krokami — okazał się fikcją. Poszczególnie ogniwa łańcucha stworzone w pełnym poświęcenia mozole młodego pokolenia nie łączą się jakoś ze sobą. Tryby machiny zacinają się i stają, a — aby szły dalej—stosuje się nie rewizję założeń i konstrukcji lecz znowu wszechpotężny terror. Zdrajcami kraju zostali ogłoszeni inżynierowie, zdrajcami technicy, zdrajcami robotnicy, zdrajcami wszyscy, którzy mieli nieszczęście stanąć na fałszywie pomyślanym posterunku.

„Człowiek nie zmienia skóry".

Lecz nie to nawet jest tragedią młodych, że tępi się ich dziesiątkami i setkami — Rosja wielka, ludzi wystarczy — lecz to, że prawo obywatelstwa zyskuje znowu ta sama postawa, z którą walczyli w pierwszych latach po rewolucji, postawa fałszywie służalcza, postawa—niskiego „naplewat"—postawa głębokiej wewnętrznej obojętności wobec spraw Związku, wobec jego klęsk czy sukcesów. Trudno — ale ten typ stosunku przeszedł próbę życia. Określony jeszcze kiedyś około roku 1918-go jako wrogi ustrojowi i tępiony bezlitośnie — mimo wszystko okazał się najbardziej praktyczny, najlepiej chroniący jednostkę przed konsekwencjami raju na ziemi Republiki.

Paradoks? Nie, przecież w ciągu dwudziestu lat więcej, o wiele więcej, wybito ideowców, ludzi, którzy do czegoś dążyli i czegoś chcieli — i to wcale nie powrotu cara-batiuszki, niż tych, którzy wziąwszy na siebie czerwone futerko, pozostali tylko tym, czym byli.

Piękne filmy i brzydkie kazamaty.

Długi okres czasu trąbiono z za wschodniej granicy: budujemy. A potem rozsyłano filmy ze

zdjęciami wielkich tam, niebotycznych kominów, pękatych pieców hutniczych a wśród tej masy stali, betonu i ogniotrwałej cegły snuły się sylwetki młodych.

Filmy były ładne, ale „na prawdę" już się coś psuć zaczynało. Przewalały się jakieś wewnętrzne fermenty, wrzały niewidzialne źródła niezadowolenia i buntu — aż wybuchły, ale nie wartkim strumieniem gorejącej lawy, lecz koszmarnymi oparami procesów politycznych. Sądzono ludzi. Sądzono starych, sądzono młodych, zdejmowano ze ścian portrety zasłużonych, reorganizowano administrację, wojsko. Metoda postępowania była prosta: dziś towarzysz A do więzienia, towarzysz B na dyrektora — jutro towarzysz A przed sąd, B do więzienia, C na dyrektora, pojutrze towarzysz A „pod stienku" lub do obozów jeńców politycznych, B przed sąd, C do więzienia, D na dyrektora itd. Opętany taniec trwa nadal. I stale winien jest nie system, lecz ludzie, którzy wprawdzie pierwej wszystko z siebie dali, by wznieść fabrykę, lecz dzisiaj tylko szukają okazji, by rzucać procesowi produkcji kłody pod nogi. A że starych już dawno zabrakło, bo albo ich wybito, albo zdziecinnieli, więc kierownicze stanowiska obejmuje niedawna młodzież. Obejmuje nie dlatego, że chce, ale dlatego, że musi, bo droga jest prosta: tow. A do więzienia, tow. B na dyrektora itd itd.

Młodzież bez nadziei.

Skończył się sen o wszechświatowej rewolucji. Chwieje się i coraz bardziej bierze w skórę mit wielkiej potęgi militarnej. Na kpiny wygląda opowiadanie o sprawiedliwości społecznej.

Radiowe dzienniki sowieckie psioczą na faszyzm swych sąsiadów, lecz myślę, że każdy obywatel Z.S. R.R wzdycha jak do raju do tego „ucisku hydry kapitalistycznej", jaki panuje na Zachodzie.

Na Zachodzie człowiek walczy, organizuje się i wie, że jego postawa zadecyduje o przyszłości państwa i ustroju — na wschodzie jest więziony i katowany w imię wolności, głodzony w imię sytości, pchany do ataku w imię powszechnego pokoju.

Wielka jest siła bezwładności masy ludzkiej. Wielka w dążeniu ale i wielka w niszczeniu. Aby dążyć, trzeba wierzyć, aby się w wierze zatwierdzać należy mieć stale przed oczyma realne osiągnięcia, trzeba widzieć, iż wysiłek nie idzie na marne, że na trudzie najlepszych nie odpasają się nędzne szumowiny bezczelnie szermujące obowiązkiem, misją i poświęceniem.

Biedna jest młodzież sowiecka, biedna ta, co dorosła — bo ginie widząc, iż trud jej został zmarnowany — biedna ta, która teraz dorasta, bo oczom jej nie przyświecają żadne ideały, bo nie ma dla niej żadnej nadziei.

DANINA KRWI NA F. O. N.

Nie wszyscy zapewne wiemy, że w ostatnich dniach wrześniowych u. r. w godzinach pełnych napięcia i niespokojnych oczekiwań dla całej Europy, a które to godziny u nas jakże chlubnie i zwycięsko zaświadczyły o skupionej właśnie, zdecydowanej postawie i zupełnym zespoleniu woli całego Narodu, Polski Czerwony Krzyż rozpoczął akcję gromadzenia *zapasu krwi dla żołnierzy*, na wypadek potrzeby myślą o Zaolziu i w imię najrychlejszego przywrócenia go do myślą o Zaolziu i w imię—najrychlejszego przywrócenia go do Macierzy — zdążyło złożyć już w Warszawie i Krakowie ów najcenniejszy dar — własną krew, najżywotniejszą cząstkę samych siebie.

Szybki bieg wydarzeń i zupełny triumf polskiej myśli dyplomatycznej sprawiły, że konieczność dalszej bezpośredniej ofiary krwi na Zaolziu i pośredniej dla Zaolzia przestały być aktualne. Nie przestała natomiast być aktualna sama potrzeba należytego, a obronnego przygotowania się naszego w omawianym zakresie, na nieznany dzisiaj dzień i na nieznany odcinek graniczny. Wówczas nie wystarczy zapewne krew dziesiątków czy setek dawców, lecz potrzeba będzie *wielotysięcznych rzesz ofiarnych obywateli*, odpowiadających liczbą conajmniej *liczbie rannych* w obronie Kraju.

Restytuowanie im przelanej krwi, pomniejszenie strat wojennych w ludziach, możliwie szybkie przywrócenie rannych i chorych z trudów wojny do stanu ponownej zdolności bojowej stanie się wtedy — a w zasadzie jest już i dzisiaj— poprzez odpowiednią rejestrację — obowiązkiem całego pozostałego społeczeństwa, w pierwszym zaś rzędzie i z konieczności — *kobiet*, zwłaszcza niepełniących wojskowej służby pomocniczej, posiadających jednak odpowiednie warunki zdrowotne. Jeśli statystyka ostatnich wojen oraz wojny światowej oblicza straty poniesione w rannych i zmarłych z upływu krwi, czy chorób, już nie na dziesiątki, lecz na setki tysięcy i na miliony, zrozumiałe jest, że i u nas musi być odpowiednio wielka ilość tych, którzy zgłoszą gotowość wspomnianej obywatelskiej ofiary, a gdy zajdzie potrzeba, oddadzą ochotniczo i to w każdej chwili, własną krew żołnierzom walczącym.

Przetaczanie krwi nie jest dla dzisiejszej medycyny nowym zagadnieniem, czy nową metodą leczniczą.

Dawniej t. j. do XIX w. transfuzja krwi nie zawsze spełniała oczekiwaną od niej leczniczą rolę. Nauka (Landsteiner) ustaliła, jak wiadomo, iż nie tylko ilość, ale i jakość krwi odgrywa przy t. zw. transfuzjach ważną rolę. Krew tego samego dawcy u jednego z biorców może być wprowadzana do jego żył z korzyścią dla organizmu, u innego — ze szkodą. Jedynie krew niektórych ludzi zaliczona do takiej samej grupy zerowej, może być użyta swobodnie w każdym wypadku, natomiast krew ludzka zaliczona do różniących się między sobą grup A, B i AB daje się zastosować z pożytkiem wyłącznie w odniesieniu do chorych o krwi jednoimiennej grupy. Odkrycie to wywołało decydujący, a dobroczynny w skutkach zwrot w stosowaniu transfuzji.

Zrozumiałym staje się tedy, że wszyscy pragnący być krwiodawcami na wypadek wojny, czy przypuszczalnych katastrof żywiołowych, już dzisiaj powinni się poddać zbadaniu lekarskiemu i dać jednocześnie drobną próbę krwi w celu ustalenia jej przynależności grupowej. Na tym właśnie, obok samego zgłoszenia akcesu, polega *pełny akt rejestracyjny*.

U ZAMKNIĘTYCH BRAM ZIEMI OBIECANEJ

napisał Wiktor Laskowski

Problem żydowski w Polsce rozwiązany być może na wielką skalę tylko w drodze emigracji. Tej emigracji sprzyja młodzież żydowska, ogarnięta ruchem t. zw. neosjonistycznym.

Ruch sjonistyczny powstał, jak wiadomo, w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Założycielem jego był wiedeński dziennikarz — dr. Teodor Herzl. W wydanej przez siebie broszurze „Das judische Staat" postawił on trzy tezy, które brzmiały — jak na owe czasy — paradoksalnie i rewolucyjnie. Pierwsza z tych tez brzmiała: Żydzi są narodem, takim samym, jak inne, a nietylko, jak to sami sądzili — religią i rasą. Teza druga: Żydzi, jak każdy inny naród mają prawo do niepodległego bytu państwowego. I wreszcie teza trzecia: niepodległe państwo żydowskie może powstać tylko w Palestynie, w historycznej Ziemi Obiecanej Izraela, do której posiada on nieprzedawnione prawa.

W świecie żydowskim projekt Herzla wywołał burzę, trwającą przez lat kilkadziesiąt. Już samo postawienie tezy, że Żydzi są narodem, wydawało się czemś tak niesłychanym, tak rewolucyjnym, że wymagało gruntownego przewartościowania całokształtu podstaw światopoglądu żydowskiego. Trzeba pamiętać poza tym, że tezy te postawione były u schyłku XIX wieku, a zatem w okresie rozkwitu kapitalizmu i ustroju demo-liberalnego. Był to więc okres, w którym Żydzi zdobyli wielkie wpływy wśród narodów rdzennych, opanowali życie gospodarcze i przecisnęli się do sfer kulturalnych i artystycznych. W tych warunkach musiały się cieszyć powodzeniem wszelkie teorje asymilatorskie, dążące do stopienia się Żydów w masie ludności rdzennej. Musiały się cieszyć powodzeniem tezy, że Żyd we Francji jest Francuzem, a w Polsce Polakiem, tym się tylko różniącym od reszty obywateli, że wyznającym swoją dawną, czcigodną, mojżeszową religię.

A tu raptem przychodzi Herzl i głosi, że Żydzi są odrębnym, starym narodem, że powinni budzić w sobie świadomość narodową, że powinni poczuć się narodem, że powinni zwalczać asymilację, jako odstępstwo narodowe, że nie istnieją żadni „Polacy mojżeszowego wyznania", że ideałem Żydów winno być pielęgnowanie swojej odrębnej, narodowej kultury, a w perspektywie zaś lak kilkudziesięciu — odbudowa swojego własnego państwa.

Rzucone przez Teodora Herzla ziarno nie zginęło i nie poszło na marne. Nieliczne zrazu kółka sjonistyczne, zaczęły się rozrastać, aż przekształciły się wreszcie w potężną Wszechświatową Organizację Sjonistyczną. Równocześnie coraz liczniejsze zastępy młodzieży zaczęły dokumentować czynem swoje oddanie się nowej ideologii. Całe zastępy młodych pionierów „chaluców" zaczęły płynąć do Palestyny, aby tam osiedlić się na roli, i aby w ten sposób budować „Ezec Izrael" od podstaw. Z całego świata zaczęły płynąć pieniądze i składki na Żydowski Fundusz Narodowy — fundusz odbudowy Palestyny.

Zadanie, które czekało śmiałych pionierów, nie było łatwe. Palestyna w końcu XIX wieku była niedużym, pustynnym kraikiem, zamieszkałym przez leniwą i nędzną ludność arabską. Wieki panowania arabskiego zrobiły swoje i zmieniły do niepoznania oblicze Ziemi Obiecanej. Miejscowa ludność żydowska była bardzo nieliczna i bardzo uboga. Na gruzach świątyni Salomona stanął wspaniały meczet Omara — trzecie — poza Mekką i Medyną — miejsce święte świata muzułmańskiego. Na gruzach zburzonej przez Tytusa Jerozolimy wyrosło małe miasteczko arabskie, nic — poza nazwą, nie mające wspólnego z dawną stolicą Izraela. Wszystko tu trzeba było zaczynać od podstaw, wszystko tu leżało w gruzach lub zostało zawiane piaskiem pustyni.

W niedługim jednak czasie oblicze zapomnianej ziemi zaczęło się zmieniać w sposób nieoczekiwany. Entuzjazm młodych pionierów, wsparty strumieniem złota ze wszystkich krajów świata dokonał cudu. Z malarycznych bagien nad brzegiem morza Śródziemnego, ze spalonej słońcem pustyni zaczęło wykwitać nowe życie. Jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej zaczęła powstawać Nowa Palestyna. Biedni i ciemni Arabowie, skuszeni brzęczącymi dukatami, zaczęli masowo wyzbywać się ziemi na rzecz przedsiębiorczych i obrotnych przybyszów. Na miejscu ich nędznych gospodarstw zaczęły powstawać kwitnące „kwuce", produkujące na wielką skalę narodowy owoc Nowej Palestyny — pomarańcze i grape-fruity. Olbrzymie zakłady wodno-elektryczne na Jordanie dostarczały w żądanej ilości energii, potrzebnej do nawodnienia tysiąca nowych kolonij. Nad brzegami morza Martwego stanęły nowoczesne zakłady dla eksploatacji soli potasowych. Setki kilometrów szos asfaltowych przecięło wzdłuż i wszerz Ziemię Obiecaną, a w pobliżu portu Haify stanęło nowe miasto — Tel-Aviv — chluba i duma odrodzonego Izraela.

Wsposób zdumiewająco szybki zaczęła się również zmieniać i psychika żydowska. Wygnany naród, naród-tułacz, pogardzany powszechnie za swoją skłonność do nieetycznych metod za-

robkowania, odradzał się moralnie i psychicznie z chwilą gdy stanął na ziemi ojców swoich. Szacherki i spekulacje, lichwa i pasożytnictwo — to wszystko mogło być tolerowane w krajach wygnania, lecz nie na ziemi własnej. Do Palestyny mógł jechać tylko ten, kto chciał i umiał pracować uczciwie. Tak zw. „luftmenche", czyli dobrze nam znani aferzyści żydowscy, otoczeni tam zostali powszechną pogardą. Wysoki poziom ideowy „chaluców", odbudowujących swoją Ojczyznę, był w Palestynie regułą prawie bez wyjątków. Sprawdziła się w ten sposób wizja Teodora Herzla, który w powrocie Żydów do ziemi, do normalnych warunków bytu, upatrywał niezbędny warunek ich odrodzenia.

Radosny patos ludowy Siedziby Narodowej został jednak b. szybko przerwany. Świat arabski, leniwy i nieżyczliwy w czynach, zorientował się jednak, że jest systematycznie wypierany ze swoich pozycyj, i że jeśli sprawy pójdą nadal w tym tempie, to stanie się wkrótce w Palestynie mniejszością. Rozpoczęła się więc zaciekła walka bojówek arabskich i z przybyszami i z władzą mandatową, w którje stawką nie są te czy inne przywileje i prawa, lecz prawo do życia na ziemi, którą obie strony uważają za własną.

Zdawałoby się, rzecz prosta, że sytuacja, jaka się wytworzyła w Palestynie, w gruncie rzeczy skomplikowaną nie jest. Skoro bowiem z jednej strony stają do walki nieregularne i licho uzbrojone oddziały powstańców arabskich, a z drugiej — cała potęga Wielkiej Brytanii, wynik zbrojnego starcia nie może ulegać żadnej wątpliwości.

W rzeczywistości jednak sprawa nie przedstawia się tak prosto. Wielka Brytania, popierając Żydów, nie chce jednak zrazić do siebie definitywnie świata muzułmańskiego. Anglia pamięta dobrze, że jest „największym muzułmańskim mocarstwem świata". Dlatego też polityka jej w sprawie palestyńskiej jest nieszczera i dwulicowa. Musi ona poza tym liczyć się z faktem, że w zabiegach o sympatie świata muzułmańskiego posiada ona bardzo poważnych konkurentów. Niedarmo Mussolini podczas pobytu swojego w Libii otrzymał od tamtejszych szeików arabskich symboliczny „miecz Islamu"...

Tragiczna walka o prawo do ziemi, toczona dziś w Palestynie, musiała pogłębić, rzecz prosta, istniejące już oddawna w Sjonizmie różnice poglądów. Obok posiadających największe wpływy starych sjonistycznych ugrupowań, (których organem na gruncie polskim jest „Nasz Przegląd"), coraz większego znaczenia zaczęła nabierać Nowa Organizacja Sjonistyczna (t. zw. „rewizjoniści") na której czele stoi wódz Legionu Żydowskiego z okresu wielkiej wojny — Włodzimierz Żabotyński.

Organizacja ta stoi na stanowisku, że — pierwsze — kolonizacja Palestyny winna się odbywać w trybie masowego exodus'u Żydów z krajów rozproszenia (czyli t. zw. „diaspory"), po drugie zaś — że prawo do niepodzielnego władania Palestyną naród żydowski może zdobyć tylko w drodze walki orężnej. Aby przygotować Żydów do tej walki i ażeby odrodzić w nich żołnierskie cnoty dawnych Machabeuszów, Żabotyński stworzył w krajach diaspory organizację sportowo-wojskową p. n. „Brith Trumpeldor", której członkowie, przez dziwny zbieg okoliczności noszą brązowe koszule, w Palestynie zaś pozostaje pod jego wpływami tajna terorystyczna organizacja p. n. „Izgan Cewaj Leumi".

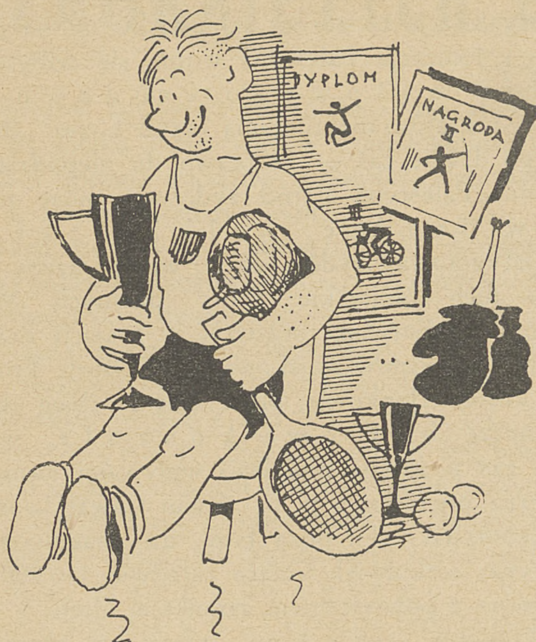
Żabotyński stoi poza tym na stanowisku, że Palestyna, aczkolwiek licząca zaledwie 116.000 klm. kw., może z powodzeniem pomieścić około 8 milionów ludności, czyli o 6 mil. więcej niż obecnie. O możliwościach wyżywienia ludności nie decyduje bowem naturalna urodzajność ziemi, lecz intensywność gospodarki rolnej, meljoracje, uprzemysłowienie oraz umiejętność wyzyskania kluczowego położenia na szlakach handlowych.

Na gruncie polskim perypetje Sjonizmu odbijają się w b. charakterystyczny sposób. Wśród młodzieży żydowskiej w Polsce coraz bardziej ugruntowuje się przekonanie, że nie może ona liczyć na żadną jaśniejszą przyszłość, jeśli nie zdobędzie się na jakiś zdecydowany i świtały zryw. Słynne demonstracyjne „marsze do Palestyny", organizowane przez warszawskiego adwokata dr. Rippla, są wymownym przykładem tego fermentu.

W prasie żydowskiej, wydawanej przez młodych sjonistów, również zaczynają pojawiać się nowe i nieznane przed tym akcenty. W jednym z numerów czasopisma „Jerozolima Wyzwolona", znajdujemy naprz. stwierdzenie, że istnieje „jedna tylko produkcyjna, konstruktywna walka jaką jest walka o wolność we własnej Ojczyźnie". W inym zaś miejscu czytamy, że „Palestyna — to nie są deklaracje, ani wykup ziemi, ani posiedzenia, ani konferencje. Palestyna — to ludzie i broń". Nowe to są, bardzo nowe akcenty...

W walce, jaką naród żydowski toczy o odbudowę swojej Ojczyzny, sympatie polskiego społeczeństwa winny być bezwzględnie po jego stronie. Naród Polski zdaje sobie dobrze sprawę, że tylko we własnym państwie i na własnej ziemi naród tułaczy może wprostować swój społeczny i moralny kręgosłup oraz zdobyć sobie szacunek i sympatie innych narodów świata.

KARCZ



GOLIAT



gadu-gadu

O RĘKACH, NOGACH I GŁOWIE.

Dawny przedwojenny „student" gimnazjalny grywał w klipę, pisał wiersze, czytał Kanta, chodził na majówkę, nosił mankiety i odrażający szynel, w którym wyglądał jak sałdat albo też wytworny „baniak", w którym przypominał oficera ces.-królewskiej monarchii. Tyle mniejwięcej zapamiętały nasze babcie, w których się tacy właśnie studenci kochali, nim wyrośli na naszych dziadków.

Charakterystyka „sztubaka współczesnego" wypada daleko mniej zawile. Uczeń dzisiejszy ma to do siebie, że... nosi trzy pary spodni. Jest to cecha zasadnicza, wyróżniająca go w dziejach wszelkiego sztubactwa.

Spodnie granatowe, zielone i czerwone w zieloną kratę lub odwrotnie. Pierwsze są z s u k n a, drugie z d r e l i c h a, trzecie — z b a j i. Tym trzem parom spodni od zewnątrz towarzyszą trzy różne „stany psychiczne". Możnaby rzec, że istnieją dziś trzy różne „profile duchowe", używane zależnie od stroju, w jakim się paraduje.

Zacznijmy od stroju nr. 3, „bajowego" zwanego popularnie — „kaloryferami". Wiadomo, że sztubak współczesny czuje się w nich jak „młody poganin", zwłaszcza, gdy siedzi w dwuosobowym kajaku z „osobą" lub ścina piłkę przez siatkę. Gdy się jest w stroju nr. 3 — to co rozciąga się od górnych bicepsów wzwyż, czyli t. zw. „głowa", służy tylko do opalania, noszenia barwnej mycki i wymawiania od czasu do czasu wyrazu „byczo". Taka głowa siedzi zazwyczaj mocno na karku i zdolna jest przebić mur w „base - ball'u", natomiast nie zawsze udaje się jej to z c i e n k ą k a r t k ą p a p i e r u, na której wypisana jest reguła z trygonometrii. Natomiast ręce, nogi! na Jowisza — potrafią one działać cuda: plasować, driblować, centrować, nokautować, serwować, oporować, pedałować, bić i ustanawiać rekordy... Ale niechno tylko te zdobywcze ścięgna i mięśnie poczują na sobie zamiast „baji" i trykotów dotyk granatowego sukna z cienkim czerwonym lub niebieskim szlaczkiem — cóż za metamorfoza! Więdnie atleta, kurczy i garbi się mistrz trójskoku a prawy obrońca, postrach boiska robi się w ławce taki mały, maluśki, że władza musi „cwikier" nakładać, aby go zobaczyć. Tak niszczące jest działanie władczej myśli i wszechpotężnego ducha, bijącego z ksiąg, zeszytów i „ściągaczek". To też na tym odcinku przeżywa się dziś kryzys. Ze świecą w ręku szukać dziś w szkolnej ławie takich a s ó w n a u k i, jakich pokolenie to dostarcza bieżniom, basenom i stadionom. Ani rusz jakoś nie daje się ustanowić

I DAWID



rytm rozwojowy ani harmonia twórcza pomiędzy rękami i nogami a — głową. Żeby ręce i nogi rekordy swoje biły — sportowe, a głowa swoje — rekordy techniczne, naukowe, myślicielskie. Niestety o taką harmonię dziś jeszcze niełatwo. Daleko częściej spotyka się dziś kolegów, którzy stanowią tylko *j e d n ą p o ł o w ę i d e a ł u*. Taka połowa albo kopie, skacze i podbija piłkę, albo siedzi w książkach, zasuszona na płask, świszczy w płucach słabym oddechem a gorejącą myślą chce *p o d b i j a ć n i e b o*. Trzebaby te dwie połowy skleić!

I tu nie od rzeczy wydaje się nam wspomnieć o jeszcze jednym stroju. O drelichu. Tu wszystko równo, sztywno, sprawnie, na rozkaz: „—czność!" (Aha, poderwało was?) Nic to, że materiał drelich to marny wynalazek. Ani to zaprasować ani w tym paradować. A już „szaserami" z drelicha trudno *p o d b i j a ć s e r c a*. Ale nie o to chodzi. Nie o fason lecz o treść. A treść jest tak samo ważna i obowiązująca jak w prawdziwym... Zresztą co tu starym junakom o tym opowiadać. W wojsku trzeba mieć i głowę nie od parady i ręce nie od manikiru. Wydaje się nam, że tamte dwie rozwiedzione w czasach obecnych połowy zejść się mogą snadnie pod osłoną drelicha. Głowa — panowie — na karku, myśl ostra i sprawna jak lancet a pięść ciężka i twarda jak młot. Tyle chcieliśmy powiedzieć.

W ŚWIECIE I W POLSCE
miesiąc polityczny

Styczeń przyniósł Polsce dwie ważne wizyty dyplomatyczne: wizyta ministra Józefa Becka w Niemczech i rewizyta niemieckiego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribentropa w Polsce.

Wedle słów oficjalnego komunikatu „rozmowy odbyły się z poszanowaniem uzasadnionych interesów obydwóch narodów". Trwanie przyjaznych stosunków polsko-niemieckich niepokoi widocznie opinię francuską, która naklania tu i ówdzie w prasie francuskiego ministra spraw zagranicznych do zmiany polityki wrogiej wobec Polski. Min. Bonnet w swym expose wygłoszonym 26 stycznia w parlamencie francuskim stwierdził, że „przyjaźń z Francją stanowi jeden z głównych elementów polskiej polityki zagranicznej". Obecnie już zdaje się nie ulegać wątpliwości, że *s t a n o w i s k o P o l s k i w E u r o p i e j e s t p o z y c j ą k l u c z o w ą* i od jej polityki międzynarodowej może zależeć w dużym stopniu kwestia pokoju czy wojny światowej.

Miesiąc parlamentarny przeszedł pod znakiem sesji budżetowych poszczególnych ministerstw. Tymczasem zajścia na pograniczu polsko-czeskim, w które tak obfitował grudzień ubiegłego roku, po kilkutygodniowej przerwie rozpoczęły się znowu. Ta nowa seria nieobliczalnych wystąpień czeskich band dywersyjnych zmusiła rząd polski do zarządzenia przymusowego wysiedlenia 500-set uciążliwych cudzoziemców ze Śląska Zaolzańskiego.

Nową Republikę Czecho-Słowacką rozpiera od wewnątrz jakaś tajemnicza robota destrukcyjna. W dniu 6 stycznia obiegła cały świat sensacyjna wiadomość, że regularne wojska czeskie przekroczyły granicę węgierską i zaatakowały miasto Munkacz, bombardując je pociskami z artylerii. Szczęściem skończyło się na tym, że Praga przeprosiła Budapeszt, a całą winę zrzuciła na agitatorów miejscowego rządu księdza Wołoszyna. Ksiądz ten rodem z naszego Sanoka robi obecnie wybory na Karpatorusi. Zaczął je od rozwiązania wszystkich partyj oraz unieważnienia wszystkich zgłoszonych list oprócz — własnej. Kto powie nie, musi podać adres. Wynik nietrudno przewidzieć.

W pierwszych dniach stycznia premier francuski Daladier odbył manifestacyjną podróż na Korsykę i do Tunisu, owacyjnie witany przez ludność, zarówno chrześcijańską, jak i mahometańską. Podróż ta była odpowiedzią Francji na żądania terytorialne Włoch. Najważniejszą jednak wizytą dyplomatyczną stycznia był pobyt angielskiego premiera Chamberlaina i lorda Halifaxa w Rzymie. Według komunikatu oficjalnego rozmowy dały wynik zadawalający, zaś według oceny korespondentów zagranicznych raczej negatywny.

„Na dalekim zachodzie bez zmian" — tak możnaby nazwać sytuację japońską w Chinach. Po kilkunastu ofensywach wojsk japońskich w ostatnich miesiącach ubiegłego roku, styczeń przyniósł zastój w działaniach wojennych; poza zwycięstwami lokalnymi synowie kraju wschodzącego słońca nie mogą się pochwalić niczym więcej. Natomiast na drugim krwawym biegunie naszego globu — w Hiszpanii, zaszły zmiany, które zdecydowały o bliskim już zwycięstwie armii narodowej. W ostatnich dniach miesiąca w wyniku kilkutygodniowej ofensywy na froncie batalońskimwojska gen. Franco zajęły dwa najważniejsze miasta Katalonii: Taragonę i Barcelonę, a obecnie w szybkim tempie zbliżają się do granicy francuskiej w Pirenejach.

KRONIKA STRAŻOWA

Mianowania:

1. W okręgu Wołyńskim od m. grudnia ub. r. pełni obowiązki Naczelniczki ob. Marczalikówna Danuta zamieszkała w Łucku.

2. Z dniem 1 stycznia 1939 r. ob. Ewa Grzybowska została mianowana przez Naczelniczkę Organizacji Instruktorką Główną odcinka żeńskiego S. P. W najbliższych dniach ob. Instruktorka na zlecenie Naczelniczki Organizacji, w porozumieniu z Naczelniczkami Okręgów rozpocznie wizytowanie zespołów dla nawiązania bliższego i ściślejszego kontaktu z Centralą.

Komunikaty:

1. W lokalu S. P. w Warszawie w drugiej połowie lutego rozpocznie się cykl odczytów z zagadnień kulturalnych i gospodarczych wsi oraz zagadnień spółdzielczych przy udziale zaproszonych prelegentów — specjalistów w tym zakresie.

Nadto przewiduje się również kilka konferencji na temat organizacji pracy w świetlicach na wsi i z psychologii dziecka. Cykl odczytów został pomyślany pod kątem potrzeb naszej pracy obozowej.

O rozpoczęciu odczytów zespoły będą specjalnie powiadomione.

Przewiduje się możliwość udziału w nich młodzieży z kl. I licealnych i z poza organizacji, ponieważ odczyty tematowo wiążą się z „Zagadnieniami życia współczesnego".

2. Biblioteka w lokalu S. P. w Warszawie przeszła pod kierownictwo ob. Zofii Hoffmanowej p. o. Naczelniczki Okręgu Mazowieckiego.

Biblioteka jest otwarta:: :we czwartki od 18 do 20 godz.

3. Przy osobie Naczelniczki Organizacji istnieje Poradnia bibliograficzna przy łaskawym współudziale pp. dyr. Hoszowskiej, wiz. Lechickiej, dyr. Rościszewskiej, naczel. Strońskiej i dyr. Uklejskiej.

Uczestniczki zespołów mogą się zgłaszać do Poradni w sprawach bibliograficznych przy opracowywaniu zagadnień, zgłaszając zapytania na ręce ob. instr. Gł. Ewy Grzybowskiej — W-wa Ś-to Krzyska 30 m. 8.

KRONIKA DZIAŁU MĘSKIEGO

Zimowa akcja obozowa.

W misiącu grudniu i styczniu zostały zorganizowane dwa obozy strażowe: jeden centralny w Stanicy Straży Przedniej w Hołówkowie pod komendą ob. Dr. Władysława Stabryły, drugi obwodu radomskiego w Zakopanem pod komendą kierownika obwodu ob. Dr. Józefa Gawlika. Uczestnicy kursu centralnego uzyskali przeszkolenie w zakresie spółdzielczości szkolnej, organizacji i pracy teatrzyku kukiełkowego, wykonywania pomocy naukowych oraz naciarstwa i strzelectwa. Uczestnicy kursu w Zakopanem zostali przeszkoleni w zakresie narciarstwa i pracy samokształceniowej. Uczestnicy kursu zaopatrzyli szkoły powszechne w Ogrodnikach i Choroszkach w komplet pomocy naukowych, zorganizowali przedstawienie kukiełkowe dla 120 dzieci z okolicznych wsi i wzięli udział w organizacji gwiazdki dla dzieci szkół powszechnych w Ogrodnikach.

Sprawozdania półroczne.

Naczelnictwo Organizacji przypomina kierownikom zespołów, iż termin przesyłania sprawozdań za I-sze półrocze upływa z końcem stycznia. Każdy zespół winien w tym terminie nadesłać sprawozdanie.

Z teki i kosza

KOL. W. W., MYSŁOWICE: Nie jesteśmy zwolennikami ultranowoczesności w wierszach, ale wasze wiersze cechuje taka staroświeczczyzna, wobec której nieboszczka Deotyma wydaje się futurystką. Zachęcamy natomiast gorąco do rzeczowej, prostej a pełnej „faktów" korespondencji z Czarnego Śląska.

KOL. T. S., ŁÓDŹ: Wiersz p. t.: „Zmierzch lata", jest tak uroczystą a zarazem pedantyczną personifikacją lata na wsi, że wydaje się, iż nie o lecie lecz jakimś zziębniętym pastuszku piszecie. Dziękujemy uprzejmie za pozdrowienia.

KOL. T. O., SIEDLCE.

Drukujemy na życzenie wasz miły wierszyk:

Stoi mężnie na warcie,
Spełnia wszystkie rozkazy.
Patrzy dumnie — otwarcie,
Żołnierz polski bez skazy.
Broni dzielnie, wytrwale,
I nie wpuszcza zarazy.
Pielęgnuje morale!
Żołnierz polski bez skazy.

KOL. H. KILIANÓWNA — CHEŁMNO. „Wigilia" spóźniona. Należało przesłać przed zamknięciem nru gwiazdkowego. Pozdrowienia.

KOL. AUTOR „MORFEUSZOWYCH FIGIELKÓW". Piszecie Kolego: „Jestem prawie pewien, że niniejsze, nieudolne „przelanie na papier" utknie raz na zawsze za kulisami (?) srogiej Redakcji, a jedynym świadectwem jego istnienia będzie „zdrowa" krytyka, szczerząca w ironicznym uśmiechu zęby ze szpalt naszego pisma".

No cóż? „Szczerząc zęby" — odpowiadamy. Bardzo nas ubawiły figle Morfeusza z Wami ale na druk jest to i nieco za długie i — mówiąc szczerze — za błahe. Czy to nie wszystko jedno, co komu się po nocach śni?"

KOL. E. P. — BRZEŚĆ n/B. Wiersz Kolegi jest makabrycznym dytyrambem — jeśli zrozumieliśmy dobrze — o protegowanym uczniu, któremu „wyrzucacie prawdę prosto w twarz!" Brawo! Tylko dlaczego wierszem? Temat nadaje się do „kolumny dyskusyjnej" pod tytułem np. „Walka z protekcją czy o... protekcję?" Zachęcamy!

KOL. T. T., SOLEC n/W. Głos w dyskusji wydrukowaliśmy, natomiast — jak to nieraz bywa — wiersze same nie stoją jeszcze na poziomie wyznawanych przez Was prawd poetyckich. Bo podstawowa prawda to chyba: b y ć s o b ą, a nie Słowackim ani Konopnicką ani Wyspiańskim ani Staffem ani żadnym wierszem, który jego jest.

KOL. KOL. S. L. we Lwowie, H. J., I. K., R. M. w Krakowie, T. N. w Glinniku M., J. S. w Wejherowie, B. W. w Rogoźnie, K. L. w Wilnie, G. N. w Równem: Nie wydrukujemy. Prosimy o korespondencje.

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne Redakcja składa przy okazji serdeczne podziękowanie.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET

Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8 (gmach własny)

„MŁODE OCZY" NA PARADYZIE

TEATR MAŁY — TEMPERAMENTY, KOMEDIA W 3-ch AKTACH ANTONIEGO CWOJDZIŃSKIEGO.

Cwojdziński postawił sobie jako zadanie popularyzowanie sceniczne teorii naukowych, a ściślej wydobycie z nich — komizmu. Zadanie ciekawe ale czy użyteczne z punktu widzenia artyzmu oraz interesu społecznego? Stwierdzimy na wstępie, że Cwojdzińskiego uważamy za gwiazdę farsopisarską pierwszej wielkości na firmamencie sceny polskiej, ale też talent jego brzmi na scenie o wiele ciekawiej i pełniej, niż cudze teorie, które usiluje „popularyzować". Niewątpliwie sam moment „pasowania" teorii do życia przez teoretyka, bądź przez powierzchownego znawcę jużto „snoba nauki", zawiera w sobie momenty niepozbawione komizmu. Idzie tylko o to, jakiego rodzaju jest ten komizm i w jaki sposób się go wydobywa. I o to właśnie mamy pretensje do p. Cwojdzińskiego. „Temperamenty" to trzecia z komedii naukowych autora a druga poświęcona psychologii (po Freuda „Teorii snów"). Porównanie jednak nie wypada na korzyść „Temperamentów". Żywiołowy śmiech widzów „Teorii snów" był bardziej uzasadniony — no i naturalniejszy a może i zdrowszy. Boć ostatecznie śmieliśmy się z względności psychoanalizy w interpretacji laików. Tu zaś śmiejemy się z efektów sytuacyjnych, dziejących się częściowo również poza sceną. Sama historia w ujęciu uproszczonym zakrawa raczej na groteskę. Mamy tu serię konfliktów narastających na tle bliskiego współżycia dwu krańcowo różnych typów ludzkich. Kretschmer,autor trafnej choć naogół „materialistycznej" teorii psychologicznej stwierdzającej ścisłą zależność temperamentu od budowy ciała — dzieli temperamenty ludzkie na schizotymiczne, cyklotymiczne i t. p. Schizotymicznym odpowiadają typy budowy fizycznej leptosomiczne, t. j. o wąskiej klatce piersiowej, długich kończynach, wydłużonej głowie, wysokim wzroście; — cyklotymicznym — pykniczne typy okrągławych, łysawych grubasów o cienkich wiotkich kończynach. Schizotymicy są zamknięci w sobie, raczej oderwani od życia. Z nich rekrutują się święci, asceci, prorocy, twórcy różnych idei — pamiętliwi, fanatyczni. Cyklotymicy to pogodni, weseli, „życiowi" realiści, pobudliwi ale szybko gasnący.

Komedia ukazuje nam takie typy w postaci „czystej" i wielce uproszczonej. Osią komedii jest *nieudana* przemiana jednego typu psychicznego w drugi. Na korzyść autora zapisać należy, że śmieliśmy się dużo, zdrowo i cyklotymicznie. Bo jakże: mistrz farsy w wykonaniu takich asów jak Kurnakowicz, Ziembiński w świetnej asyście dam: p. p. Borowskiej, Buczyńskiej i znakomitej Lidii Wysockiej oraz p. Wojteckiego — już sama obsada zapewnia tej sztuce długie powodzenie. Dekoracje Śliwińskiego.

MADAME SANS GÊNE — TEATR LETNI.

Madame Sans Gêne, praczka paryska z czasów rewolucji, markietanka napoleońska a potem marszałkowa Francji należy do legendarnych postaci francuskiej demokracji. Farsa, która w ciągu pół wieku obeszła po kilkakroć wszystkie chyba sceny świata ma wciąż jeszcze dar nietylko rozśmieszania ale i radosnego wzruszania wszystkich tych, którzy wciąż jeszcze zaliczają się na świecie do wielkiej partii „bonapartystów". I choć „bóg wojny" ukazany tu jest w pantoflach, dwór jego ośmieszony a maniery praczki nie wydają się na tym tle tak znów zachwycające, jakby tego pragnął autor, mimo to staroświecką farsę w „Letnim" opuszczamy z wdzięcznym sercem dla reżysera, dla p. Eichlerówny i Junoszy - Stępowskiego, który „debiutował" w roli cesarza oraz dla całego zespołu praczek, generałów, królowych, żołnierzy i murzynów, znakomicie odtwarzających czasy, tło i ludzi tej epoki.

W SREBRNEJ SMUDZE

„MARIA ANTONINA".

„Superszlager" sezonu filmowego, produkcji amerykańskiej, ukazuje nam rewolucję francuską z nowego punktu obserwacyjnego: od strony dworu i przeżyć rodziny królewskiej aż do wstąpienia na szafot. O wartości tego filmu świadczy, żeśmy ani szafotów, ani głów i innego rodzaju okropności, ukazywanych chętnie widzowi amerykańskiemu — nie widzieli. Widzieliśmy natomiast Normę Shearer, która — nie starzejąc się w cudowny sposób od lat 10-ciu — zachowała w całej świeżości swój wspaniały talent. Nie będziemy nic streszczać ani omawiać, by nie psuć wrażeń przyszłemu widzowi. „Maria Antonina" należy do filmów, które zmieniają coś niecoś w umysłach widzów i pozostawiają ślad w ich sercach.

„WIĘZIENIE BEZ KRAT".

Film o dobrej, uczciwej tendencji wychowawczej. Domy poprawcze mają za zadanie oddawać społeczeństwu jednostki p o p r a w i o n e a nie u k a r a n e i pałające żądzą o d w e t u. To wszystko. Przeobrażenie takiego więzienia dla kobiet widzimy na ekranie. Około tej sprawy społecznej, zagranej z ciężkim, dość jaskrawym patosem namotano wątek „osobisty", grany dyskretnie, artystycznie, z całą filmową subtelnością. Jeszcze raz wyszło na jaw, że przemycanie jakichkolwiek tendencyj wymaga w filmie ogromnego wysiłku artystycznego, którego w tym wypadku poskąpiono.

„LOKAJ JAŚNIE PANI".

W n-rze 13 z u. r. omawialiśmy sztukę Bus-Feketego p. t.: „Jean", graną w T. Letnim w Warszawie. Film jest tej sztuki przeróbką na ekran. Mieliśmy zatem możność porównać obie „wersje": teatralną i filmową i stwierdzamy, co następuje:

Teatr przewyższa tu kino o całą klasę. Mimo to, że teatr warszawski a film amerykański i w dodatku dobry, z Powellem i Anabellą, mimo tego *Warszawa górą*. W filmie rozsypuje się to wszystko na rozliczne scenki, wypełnione czarnobiałym, płaskim rojowiskiem niewyraźnych sylwetek i głuchym ich szwargotem, co w teatrze jest życiem, prawdziwymi ludźmi, świetnym i pełnym tekstem, „trójwymiarowym" gestem i miną. Bez plenerów, samochodów, pałaców, na małej zbitej z starych desek scence „Letniaka" a jednak — lepiej.

„PROFESOR WILCZUR".

Nie mieliśmy okazji omówić na tym miejscu filmu, zaszczytnie wyróżniającego się w całej produkcji polskiej 1938. „Wilczur" może iść zagranicę i walczyć o rynek dla polskiego filmu. Jest w nim z o b r a z o w a n a i d e a, prawdziwi ludzie, dobre fotografie i nienajgorszy tekst. Okazuje się, że nie trzeba koniecznie budować „miast filmowych", by robić dobre filmy. Włoskie Hollywood — t. zw. „Cinecitta" produkuje pod wodzą A. Mussoliniego filmy, na których patriotyczna publiczność włoska podobno — ziewa.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakłady Graf.-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8